

## stanisław pigoń był zawsze synem chłopskim

pozycji znalazł się rozdział traktujący o „literackim uwłaszczeniu chłopów”. Temat ludowy bowiem to drugi, obok romantyzmu, obszar badawczy znakomitego profesora.

Stanisław Pigoń zajmował się kulturą i literaturą ludową już od czasów studenckich, gdy opublikował artykuł „O kulturę wsi polskiej”. Późniejsze jego prace to m.in. „Na drogach i manowcach kultury ludowej. Szkice”, „Zarys nowszej literatury ludowej” czy „Pamiętnikarstwo chłopskie”. W ten ostatni nurt wpisują się własne wspomnienia profesora, zawarte w książce „Z Komborni w świat. Wspomnienia młodości.”,

mającej swe pierwsze wydanie w roku 1946. Wspomnienia te miały najpierw swą wersję ustną, powstałą w czasie wojny w więzieniu, gdzie przez blisko trzy tygodnie przetrzymywano aresztowanych w listopadzie 1939 roku 183 profesorów i pracowników naukowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. W długie ciemne wieczory uczeni opowiadali kolegom koleje swego życia, prowadzące do zadomowienia się w murach uniwersyteckich. Wśród nich Stanisław Pigoń, syn chłopski, przywołał swoją wieś Kombornię i niełatwą z niej drogę na uczelnię; jak to potem spisał, „zanim się dostałem na wspólny gościniec, wypadło mi się przebijając dość długą

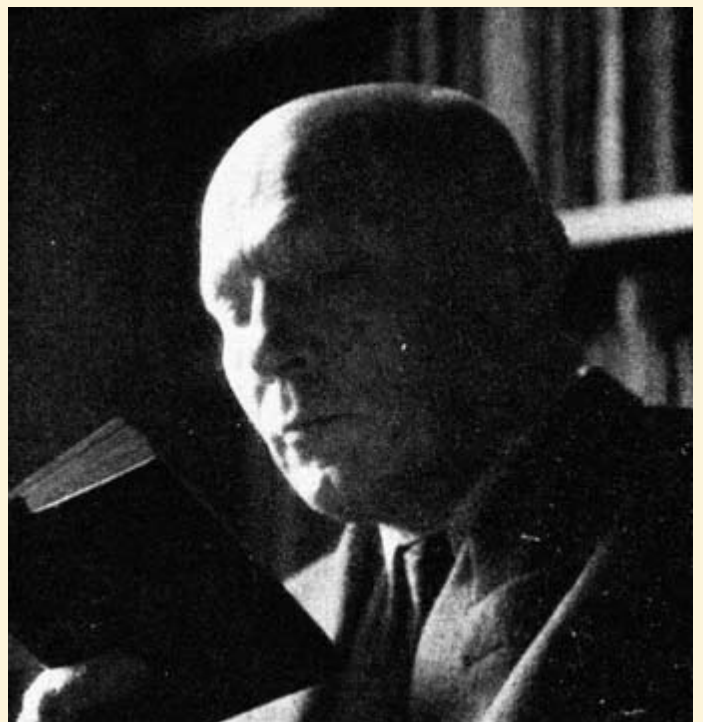
złudną ścieżyną polną”. Po kilku latach opowieść swoją profesor spisał i opublikował, aby, jak to sam stwierdził we wstępie do książki, dać świadectwo wchodzenia dzieci chłopskich do inteligencji: „Starsi czy młodszy, należymy w gromadzie do



*Wiek XXI jest już w połowie drugiego dziesięciolecia, a wciąż jeszcze można usłyszeć, jak to bywało „przed wojną”, niemalże sto lat temu. Wytworniejsze były obyczaje, pociągi punktualne, materiały ubraniowe niezniszczalne, meble pokoleniowe... A szkolnictwo! „Mała matura”- to było coś, a dzisiejsze testy niczym są wobec egzaminów, gdy trzeba było wykazać wiedzę z każdego przedmiotu, kolejno u wszystkich profesorów. No i profesorowie, uniwersytety...*

W tę aurę uczonych, i to szacownego Uniwersytetu Jagiellońskiego, wpisuje się profesor Stanisław Pigoń. Znakomity badacz twórczości romantyków polskich, a zwłaszcza Adama Mickiewicza, drogę na naukowe szczyty miał niełatwą. Urodził się w roku 1885 we wsi Kombornia koło Krosna, w niebogatej rodzinie chłopskiej. Pokończywszy szkoły, studiował w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie później sam został profesorem. Nauczał także na Uniwersytecie Poznańskim oraz Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie. Praca naukowa przerywana była wojnami: w pierwszej światowej Stanisław Pigoń znalazł się na froncie belgijskim, potem francuskim i włoskim, a w latach 1918 - 1920 służył w wojsku polskim, walcząc m.in. pod Lwowem i biorąc udział w bitwie warszawskiej. Na początku II wojny światowej został uwięziony w obozie w Sachsenhausen, gdzie nabawił się ciężkiej choroby serca, z którą borykał się do końca życia, do śmierci w roku 1968.

Dorobek naukowy profesora Stanisława Pigoń obejmuje ponad 1200 prac. Wśród tej imponującej liczby publikacji znaczące są te dotyczące twórczości Adama Mickiewicza, jak „O Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego”, „Pan Tadeusz. Wzrost, wielkość, sława. Studium literackie” czy „Zawsze o Nim. Studia i odczyty o Mickiewiczu”. Ostatnią jest nieukończona rozprawa o III części „Dziadów” - znakomity uczonego zmarł w trakcie jej pisania, co oddaje jedną z naczelnych jego cech - pracowitość. Kolejne tytuły jego książek to m.in.: „Wśród twórców. Studia i szkice z dziejów literatury i oświaty”, „Z ogniw życia i literatury. Rozprawy” czy „Drzewiej i wczoraj. Wśród zagadnień kultury i literatury”, w której to

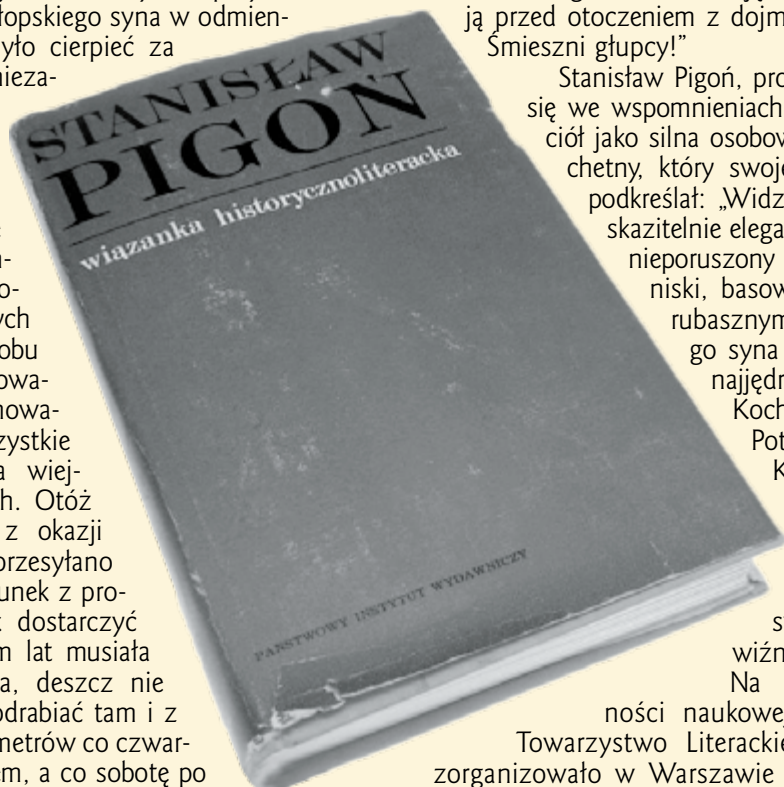


pierwszej generacji tych, co wyszedłszy ze wsi zaciągnęli się w szaczną służbę nauce. Myśmy - możemy z dumą sobie powiedzieć - myśmy torowali tę drogę”.

Droga ta, z Komborni w świat, była, jak to zostało wspomniane, niełatwa. Do pierwszej szkoły siedmioletni Staś miał pół godziny drogi: „Dostałem parcianą torbę przez ramię, do niej tabliczkę, rysik, „lamentarz”, czasem jabłko lub parę suszonych gruszek - i hajda! Biegałem latem boso, zimą w jakichś tam bucietach. Nie musiały być dostatnie, gdyż ostro marzłem w nich w nogi. Biegłem więc co tchu, nierzadko popłakując, gdy mróz zanadto dojmował w palce. Wielokrotnym doświadczeniem sprawdziłem jednak, że w pewnym miejscu, mniej więcej w połowie drogi, zaczynały się stopy rozgrzewać. Marznąc więc, obliczałem starannie, jak jeszcze daleko do tego zbawczego punktu przelomowego”.

Po ukończeniu szkoły wiejskiej i dwuletnim uzupełnieniu nauki w szkole odległej o sześć kilometrów („jesienią biegałem jakiś czas pieszo. Na zimę trzeba było wynająć stancję, w ciasnej izbie korczyńskiego tkacza, razem z jego dziećmi i jeszcze jednym chłopcem”), zdał Stanisław Pigoń egzamin do gimnazjum w Jaśle: „Wybraliśmy się z ojcem z domu jakoś jeszcze nocą, by zdążyć do Krosna na ranny pociąg. W Jaśle po egzaminie płataliśmy się bez celu po mieście; przed jakimś domem na schodach zjedliśmy obiad, prosty zresztą, z jednego dania: wziętą z domu kromkę chleba. Pociąg do Krosna mieliśmy dopiero wieczorem. Z drogi powrotnej pamiętam jedynie, że znużony do ostateczności poprzednią nocą, prawie bezsennością, i emocjami dnia - spałem idąc od stacji. Było już dość głęboko w noc”.

Nauka w gimnazjum w Jaśle, oprócz trudności związanych z wymaganiami miejskich nauczycieli, przyniosła, bolesne nieraz, wrastanie chłopskiego syna w odmienne środowisko: „trzeba było cierpieć za pochodzenie, za stopień niezamieszkałości, ośmieszano przejawy przynależenia do stanu, do rodziny, do obyczajowości. Wyśmiewano się zresztą ze wszystkiego: z moich komborskich zaciągów w mowie, z nazwiska, z użytych słów gwarowych, ze sposobu jedzenia, z takiego czy owakiego domorośłego zachowania”. To jeszcze nie wszystkie niedogodności bytowania wiejskiego dziecka w szkołach. Otóż co tydzień, korzystając z okazji wędrownych kramarzy, przesyłano Stanisławowi z domu pakunek z prowiątem. Aby ten worek dostarczyć handlarzowi, „przez osiem lat musiała matka czy starsza siostra, deszcz nie deszcz, śnieg nie śnieg, odrabiać tam i z powrotem kilkanaście kilometrów co czwartek po południu z tobołkiem, a co sobotę po zwrócony worek. [...] Trafiła się jednak dwa lub trzy razy na rok, że z workiem zjawił się osobiście ktoś z domu, najczęściej matka w odwiedziny. Tylko że matka, pewna swoich nóg, rzadko korzystała z korczyńskiej okazji, częściej brała toboł na plecy i robiła drogę piechotą. Pamiętam, jak raz w wyższych już będąc klasach, gdy wracałem ze szkoły, zastałem przed mieszkaniem na progu domu spoczywającą utrudzoną matkę”. Drogę do domu także Stanisław wielokrotnie odbywał pieszo, gdyż brakowało pieniędzy na pociąg - każdy grosz oszczędzano na naukę.



Wreszcie studia na Uniwersytecie Jagiellońskim - tu rodzice pomóc już nie mogli, więc student Stanisław Pigoń utrzymywał się z zapomóg i korepetycji, a i to wystarczało zaledwie na stancję. Z obiadu „korzystało się rzadko, na większe tylko uroczystości. Zespół codziennego pożywienia był mało urozmaicony: chleb, masło, herbata”. Gdy nadeszła zima, pojawiła się sprawa płaszcza, na którego kupno nie mógł sobie Stanisław pozwolić. Na szczęście - jak wspomina - przyszła moda na pelerynę. Powiewali nią na Plantach krakowskich artyści, tak literaci jak i malarze, a dla młodzieży akademickiej będącej w podobnym jak Pigoń położeniu była peleryna wprost wybawieniem: „Przyodziewek po prostu wymarzony: tani, wygodny i dostojny. Nosiło się ją przez wszystkie cztery pory roku; chroniła równie dobrze przed słońcem, jak i przed mrozem, służyła za odzienie i za kołdrę. Wyświadczała ona jedną jeszcze usługę, najkapitałniejszą; latem czy zimą doskonale zastępowała różne defekty ubrania na łódkach czy siedzeniu...”.

Taka to zatem była droga Stanisława Pigionia do wyższej nauki, do tytułów profesorskich i rektorskich stanowisk, do uznania i zaszczytów. Już będąc sławnym uczonym, podkreślał Pigoń nieustannie dumę z tego, że osiągnął to on, syn chłopski; nie tylko dzięki zdolnościom, ale w głównej mierze za sprawą pracowitości i uporów. Tak też obrazuje autor „Z Komborni w świat” ludzi wsi, wymieniając ich „rzetelność charakteru, obowiązkowość, surowe poczucie odpowiedzialności, wytrwałą zawziętość w trudzie, to znaczy: wartości urobione w stanie chłopskim przez wieki twardej wymogów pracy na roli”. Jednocześnie surowo ocenia Pigoń tych, którzy po przejściu do miasta wstydzą się swego pochodzenia, a nawet „wzgardliwie traktując chłopca, sądzą, że się ukrywają przed otoczeniem z dojmującą im plamą chłopskości. Smieszni głupcy!”

Stanisław Pigoń, profesor uniwersytetów, zapisał się we wspomnieniach swoich studentów i przyjaciół jako silna osobowość, erudyta, człowiek szlachetny, który swoje wiejskie korzenie z dumą podkreślał: „Widzę go jak w popielatym, nieskazitelnie eleganckim garniturze, stoi niemal nieporuszony w transie wykładu. Słyszę niski, basowy, tubalny głos, zaprawiany rubasznym śmiechem, głos chłopskiego syna z Komborni, przemawiający najjędrniejszą polszczyzną Rejów, Kochanowskich, Twardowskich, Potockich i Pasków”. Do tej Komborni profesor wracał wciąż na lato; dobudował tam do rodzinnej chałupy izbę, aby mieć własny kąpielarnię w czasie wakacji. Tam, w swojej rodzinnej wsi, na ojcowiznie, wypoczywał najlepiej.

Na pięćdziesięciolecie działalności naukowej profesora, w roku 1958, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza zorganizowało w Warszawie uroczystości dla uczczenia pracy uczonego. Stanisław Pigoń wygłosił mowę, a w pamięć słuchaczy zapadło takie przesłanie: „Za 20 czy 30 lat studenci nie odróżnią już Pigionia od Bystronia. I to jest zrozumiałe. Nauka idzie naprzód, a dawni badacze wędrują ku przypisom, coraz skromniejszym przypisom. Ale o jedno was proszę. Nie piszcie o mnie jako o burżuazyjnym uczonym. Byłem zawsze synem chłopskim i do końca nim pozostałem”.

**Jolanta Betkowska**  
Słupsk

# to tylko kwiaty, motyle i mgła niepamięci



*Gdy patrzę na kwiaty, rosnące w zespołach lub pojedynczo, oddech staje się inny, jakby spowalniał, albo niktął. Czasami jest to zachwyt, czasami zauroczenie, również refleksja nad pięknem, a nade wszystko obawa przed szybką ulotnością takiego zjawiska*

Nasze słupskie, szkoda, że coraz rzadsze, spotkania literacko-towarzyskie, odbywające się pod gościnnymi skrzydłami Starostwa Słupskiego, traktuję jak łąkę pełną polnych kwiatów. A każdy jest inny, niepowtarzalny. Im dorodniejszy, tym szybciej dotyka go niewidzialna mgła odchodzenia. Bo piękno jest wykładnią potęgi czasu. Jest też wyjątkowo nieodporne na przemijanie.

Wzmagam się, z pewnością jak inni ze wspomnianej łąki, z odczuciem żalu, iż, idąc tropem przyrodniczych porównań, niedawnych dni opadająca mgła ukazała nam puste miejsca po koleżance po piórze Wandzie Majewicz-Kulon, a także po, nieco ukrytym w słowie, koledze - Klemensie Rudowskim.

Aby zakwitnąć na takiej łące, trzeba posiadać na tyle wyształconą todyżkę, taką, by przekształciła się w pęk, aby wkrótce opadające z niego łuski (pokrywy sztywności) objawiły pąs dojrzałej róży.

Łąkowe kwiaty dotykają się - słowem, a co najwyżej spofalają się tylko z... motylami.

W ten sposób, przed siedmiu laty, poznałem Wandę i zaraz potem Klemensa. Jak każda łąka i ta słupska, póki co, nieustannie odradza się i... starzejąc - odchodzi. Najszybciej wędną kwiaty, więc kiedy pozostają, jedynie zapamiętane w naszej szkatule niebytu, te już nie mogą zareagować na mój nad nimi (spóźniony...?) zachwyt. Wówczas nagle przybiera odczucie poetyczności słów o randze lotności chwil, o bycie w niebyciu, o transcendencji, o obecności, wreszcie o cienkiej ścianie jaźni i snu. To wszystko zlewa się w indywidualną całość postrzegania drgających życiem sensów. Kiedy nasza pamięć szeleści to znak, że pozostaje żywa.

Jakby do tych okoliczności odniosła się Wanda? A jak Klemens...?

Tematem naszych literackich spotkań na wspomnianej łące, tak, jak przystało w tych okolicznościach - są harce słowne, czyli leksykalne wytwory i polemiki. I to, wcale nie „kędy wiatry wieją”, a indywidualna, gatunkowa osobność postrzegania i odczuwania, objawiana, i materializowana. Osobowości i osobliwości w zespołowy bukiet scala i ubiera, a czyni to już od kilkunastu lat, w imieniu słupskiego starostwa - Zbigniew Babiarz-Zych.

„Słupska łąka” wymaga pielęgnacji. Jak dotychczas fachową opiekę nad nią sprawował, bądź sprawuje znakomity poeta i nauczyciel Jerzy Fryckowski, równie znakomity poeta

Mirosław Kościeński, oraz o wielkiej erudycji, recenzentka i komentatorka, polonistka - Czesława Długoszek.

Każdy rolnik wie, a przynajmniej powinien wiedzieć, na czym owa pielęgnacja polega. Kwiaty ze „słupskiej łąki” mówią i piszą. I wiedzą, że miłość opiekunów może być czasami - szorstka. Wymagają tego zasady pielęgnacji. Pamiętam wspólny wyjazd do Darłowa i Darłówka. Wiozący autobus był pełen kwiatów. Za mną siedzieli opiekunowie „łąki”, a obok kwiat o imieniu - Wanda Majewicz-Kulon. Z dolatującego szelestu opiekuńczych słów dało się słyszeć: „cóż to za wiersze, te rymowanki, mało poważne treści, jak można wyprodukować coś takiego”. Była to wstępna, „przejazdowa” analiza pierwszego, debiutanckiego tomiku wierszy Wandy. Kiedy stanęliśmy, jakoś tak, obok siebie, na wybrukowanym placu Darłowa, zdenerwowana i zaniepokojona koleżanka Wanda dotknęła mnie słowem: „Słyszysz?” Co? - odpowiedziałem. „No, co o mnie mówili w autobusie...?” Kto? - odpowiedziałem. „Jak to kto? - no, opiekunowie!” Okazało się, że usłyszała to samo co i ja. Pamiętam, jak ją to zabolowało i podcięło. Była osobą, zresztą, jak wielu innych piszących, bardzo uwrażliwioną na krytykę swej twórczości, czułą na aprobatę. Pomimo, że mój dorobek słowotwórczy, nie był imponujący, często zapytywała, czytając swe nowe wiersze, czy „to słowo zamienić na inne, a może ... skreślić”, itd. W miarę możliwości zachęcałem ją do „pójścia dalej”. Wkrótce zintensyfikowała pisanie. Sławomir Kortas, nowy, młody, prężny Wydawca, kolega z bytowskiego Klubu Literackiego „Wers”, ułatwił drogę realizacji Jej marzeń. Wiem, że tworzyła do prawie ostatnich swoich dni. Planowała na jeszcze. Pozostawiła po sobie siedem tomików (w tym kilka wznowień), też, jak Ona sama, kwiatów. Córka ogrodnika, nie mogła nie pisać o kwiatach, o ich subtelnościach i ich... duszy. Była zauważalną mieszkanką Bytowa. Mieszkała w jego centrum i - jak w każdym mieście - wokół domów, pozostaje niewiele miejsca na zielen. Ogródek, to Jej pozostało po ogrodnictwie, posiadał zaledwie kilkadziesiąt metrów kwadratowych, za to „nastrojowo-duchowy” wymiar. Pewnego, ciepłego dnia znalazłem się w jego środku. Wychowany w rozległym „przedwojennym” sadzie, wchłaniałem ten „zagęstwiony” substytut - oazę „drzewiastej i krzewiastej” łąki. Oczywiście Ona była tam różą; Jej wiersze zapylały inne, otaczające nas, kwiatowe grządki. Namiętnie „kolekcjonowała” przeszłość w upostaciowionej artystycznej formie, czym byłem nieco zaskoczony. Troszczyła się i obawiała o zdrowie swej podpory - męża, o znanym artystycznym nazwisku - Kulon.

„Wersowskie” spotkania odbywają się raz w miesiącu. Na jednym z ostatnich nie mogłem być. Wiedziałem, że osiągnęła okrągłą rocznicę dojrzałości. Kosztem punktualności pobiegłem do kwaciarni po Jej... konkurencję. Nie pomyliłem się; wręczając bukiet, zauważyła: „wolalabym, abys zamiast tego, kupić jedną z moich książek”.

Podczas ostatniego spotkania, widząc Jej zboląłą twarz, zadałem Jej pytanie o samopoczucie. Nie odpowiedziała, pochyliła tylko głowę. 13 czerwca odprowadziłem ją ostatnią wiązką kwiatów - już nie protestowała, a niebo bezgłośnie, rześście płakało.

Każdy rolnik wie, że bez deszczu wszystko usycha - w milczeniu.

Również, nie mogę pominąć milczeniem, iż Wanda Majewicz-Kulon mogła wśród „słupskich” kwiatów przebywać dzięki życzliwości, nieco starszego od nas, kolegi - Andrzeja Szczepanika, gdyż dowoził ją swoim samochodem na wszystkie wspólne spotkania.

Ze „słupską łąką” do końca nie rozstawał się „motyl” - Klemens Rudowski. Jego zapylające wyobrażenie, kwieciste brzmiące artykuły wnosiły witalny optymizm i siłę przeżywalności. Ciepło brzmiące, nie pozbawione ironii i, co cenniejsze, autoironii, skojarzenia dodawały odwagi do pełniejszego zakwitania „łąki”, która na zasadzie wzajemności stawała się dla Niego „nektarodajna”. Jak każdy motyl - kolega Klemens poruszał się tylko sobie znanymi ścieżkami wolności. Dał mi się poznać jako „awersarz” przemocy, ucisku, przymusu i głupoty. Kiedy Jego palce wytaczały muzykę, skrzydła unosiły do tańca. Jego akordeon zamieniał się w nuty skowronków polnych i polnych świerszczy. Liczne w „Powiecie Słupskim”

„pogadanki” Klemensa dodatkowo ubarwiały kolorowy dwumiesięcznik. Niósł otuchę zwykłym kwiatom, a także tym niezwykłym, odmiennie kwitnącym.

Na ostatnim spotkaniu, w maju, kolega Zygmunt Jan Prusiński pochylając się nad stołem, wręczając mi gazetę powiedział: „Musisz to przeczytać! Klemens pisze, że już nigdy niczego nie napisze”. Skąd o tym wiedział? Życie dojrzałych motyli, z reguły, przebiega wyżej niż łąkowych kwiatów. Widzą dalej i ...trochę przenikliwiej. A o tym dowiedziałem się w lipcu, czyli miesiąc po Jego cichym odlocie. Tym razem bezpowrotnie i o wiele wyżej niżeli nasze oko sięga.

Zarówno Wanda, jak i Klemens odeszli, jak na miarę ludzką, zbyt wcześnie. Dzięki „słupskiej łące” mogłem, podobnie, jak inni, poznać te dwie osobowości, przebywać, choć na moment obok Nich, towarzyszyć Im w pięknych chwilach poetyckiego uniesienia, skrytych marzeniach i niepewności człowieczego życia.

I za to Im Cześć i Pamięć!...

Piotr Wiktor Grygiel, Jasień

## wiersze dla wandy majewicz-kulon (1943-2014)



Emilia Maraskiewicz, Darłowo

### MÓJ BOŻE

Wandzie Majewicz-Kulon

schroniła się u Ciebie poetka  
zmęczona podróżą  
siedzi w raju pod jabłonią  
pije kawę z filiżanki  
papierosy kurzy i rozbija muszle  
by ujrzeć siebie

wychodzi niczym pęta  
bawi się w objęciach matki  
potem urządzi polowania  
na skrzydlate metafory  
te niezwykle płochliwe istoty  
z miłości do poezji rodzi wiersze  
maluje nasze sny

Andrzej Szczepanik, Bytów

### ŻYCIE JUŻ OBOK

poetce Wandzie Majewicz-Kulon

Poeta umiera choć żyć chciałby wiecznie  
wnosić się w zachwycie i nad poziom wzlatać  
i pisać jak Ty Wando wspaniale bajecznie  
w wiersza frazy skrycie swoje myśli wplatać

poeta żyje inaczej - na szczytach w dolinach  
i głębi  
inaczej śmiechem wybucha i inaczej płacze  
marzenia unosząc na skrzydłach gołębi  
gdy serce zmęczone szaleństwem kotacze

wciąż piękne opowieści i wspomnienia snułaś  
zobacz - mówiłaś - pięknie porożkwitał świat  
bo Ty inaczej niż my urok życia czułaś  
tego życia co obok i tego sprzed lat

teraz ja Twój przyjaciel stary  
szukam słów by wypełnić treny  
żeby zabrzmiały smutkiem żałobne fanfary  
melodią zrodzoną z poetyckiej weny

serca nasze łzami smutku płaczą lecz  
gdy zatęsknimy  
znajdziemy Twoje zapisane strony  
i myślą Wando w świat Twój powrócimy  
wierszem opisany - zawsze hołubiony

stoję obok Ciebie z garścią ciepłej ziemi  
by wiersz Ci przypomnieć - Twój - ten  
najpiękniejszy  
żebyś poczuła żeś jest między swymi  
choć to dzień ze wszystkich najsmutniejszy  
„jesli Ci smutno  
płacz cicho  
w kąciaku zieleni  
łzy spije słońce  
a ciepłe okruchy  
lazuru nieba  
wskrzeszą uśmiech”  
to Twoje słowa - nam na pocieszenie  
zostaną już tylko jak życia wspomnienie.

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

Wandzie Majewicz-Kulon

### TEŚKNOTY LIŚCIK MAŁY

Za szybko kłaniają się drzewa  
Za szybko płaczą łąki  
Dziś nie śmieje się mewa  
Nie rozkwitają pąki

Kwiaty lodygi splotły  
Życie oddech wstrzymało  
Nawet żar nie wysuszył łzy  
Niebo załapało

Ty niczym nimfa z bajki  
W płatkach młodości skryta  
Uśmiechem kwitujesz rozstanie  
Bez dialogu gdy ktoś pyta

Zapamiętała zbierasz rozsypane  
Wspomnień pierzaste notatki  
Układasz w strofy niebieskie  
Jak kiedyś frezje czy bratki

I idziesz odważnie przed siebie  
Kiwając bukietem na do widzenia  
Szybują kartki po niebie  
Chwyciłam kilka - mam wspomnienia

Będę ich strzec jak Ty  
W schowek pamięci włożę  
A gdy się kiedyś spotkamy  
Na dłoniach Twoich złożę

Dopiszę może jeszcze  
Tęsknoty liścik mały  
Za Tobą ze dwa wiersze  
Modlitwy wianek cały

By Cię otulał czule  
Blask anielskich skrzydeł  
By ciepło serca Twego  
Witało mnie gdy przyjdę...

Jadwiga Michalak, Naćmierz

### MĄDROŚĆ ŻYCIA

Pamięci wspaniałej koleżanki poetki -  
Wandy Majewicz-Kulon

Wzięłaś niebo w dłonie  
cztery żywioły były Ci bliskie

Umiałaś opanować chaos  
jasnością swego uśmiechu  
wiedziałaś jak pachnie szczęście

Byłaś bożą iskierką  
w niepogodę szukałaś słońca  
i łzy obmywałaś deszczem

Odeszłaś poza życia horyzont  
Twoje imię wśród gwiazd na niebie  
a jeszcze wczoraj byłaś tak blisko...

Naćmierz, 1 lipca 2014 r.

## wiersze dla klemensa rudowskiego (1948-2014)

Jadwiga Michalak, Naćmierz

Klemensowi Rudowskiemu - wiernemu  
idei służenia bliźniemu i autorowi  
pełnych autoironii felietonów.

### CV POCZCIWEGO CZŁOWIEKA

nie żyjemy wiecznie  
pokonujemy przeszkody lat  
w sztafecie doświadczeń szlifując talenty

w młodości poznajemy siebie  
miłość smakujemy garściami  
zakładamy gniazda

czas napina pory roku jak struny  
odchodzą ciepłe dni miesiące lata  
jesień życia przyprószone siwizną  
czeka na serca wrażliwość

Ona zabrała Cię do wieczności  
między gwiazdami na niebie  
czytamy Twoje felietony

Byłeś świadkiem upadku Ikara  
wszedłeś przez bramę nadziei  
dałeś oddech skrzydłom rozpacz

Naćmierz, 12.06.2014 r.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

### BRZMIENIE SIĘ RODZI I UMIERA

Pamięci Klemensa Rudowskiego

Byłeś taki łagodny i mądry  
w twoim towarzystwie czas się goił  
człowiek dla ciebie był ważny  
nie zapominałeś nigdy o nim.

Szczególnie o tych co im życie nie wyszło.

Kochałeś muzykę i literaturę -  
sam brałeś żywy udział by dogasić  
żar powstały frazą - akordeon brzmiał  
gdy grałeś dźwiękami spod twych palców  
niczym białe ptaki unosiły się do nieba.

Czasem kupiłeś buteleczkę - nie piłeś  
ale pamiętałeś o kolegach poetach:  
„Wypijcie za moje zdrowie” -  
i w tym standardzie powstawały metafory  
o męskich duszach w wierszach.

Jak cię zapamiętać teraz Klemensie?

To jak nagle urwany film - ale widzę  
stoisz po drugiej stronie rzeki -  
i machasz do nas ręką...

12.6.2014 - Ustka, Czwartek 3:00

Irena Peszkin, Koszalin

### CZAS PRZESZŁY W RACHUBĘ NIE WCHODZI

Telefon...  
Nie dowierzam słowom...  
Może to nieporozumienie, pomyłka jakaś.  
W końcu zdarzają się takie.  
A jednak... Podwójny cios...  
To niemożliwe...  
Zdublowany ból... i refleksje...  
No cóż - We dwoje zawsze różniej...  
Musieli umówić się potajemnie  
na jakieś niezwykle party.  
Może w ogrodach błękitnych, gdzie  
orszaki anielskie przy dźwiękach nieziemskich  
recytują poezję...

Czy słyszycie tamtych skrzypiec łkanie?  
Ja słyszę. To Klemensowe życiowe dylematy.  
I wciąż widzę  
Iskierki zielone jak świetliki w oczach Wandy,

Która kochała przyjaciół, poezję i kwiaty.  
A ja kocham oboje  
czas przeszły w rachubę nie wchodzi.  
Piękno ich dusz, ich wrażliwość  
na zawsze przy mnie zostanie.





*Profesorowi Zbigniewowi Zielonce, a także mojej skromnej osobie marzą się Dni Literatury w Dębnicy Kaszubskiej. Spotkania poetów w szkołach, reaktywacja Konkursu Recytatorskiego im. Jacka Kaczmarskiego, rozstrzygnięcie Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O antałek miódówki”, a przy okazji może jakaś promocja książki wydanej przez poetę zamieszkałego na terenie naszej gminy, bo kilkoro nas tu jest*

# dębnicki dzień literatury

Namiastkę realizacji tego marzenia mieliśmy 21 czerwca br. W sali kominkowej Gminnego Ośrodka Kultury odbyła się promocja pierwszej w Polsce przygotowanej przeze mnie antologii wierszy o ojcu pt. „On też jest tylko jeden”. To owoc mojej wieloletniej pracy. Okładkę zaprojektowała Zdzisława Wera z Lipnicy, ona jest także autorką mojej fotografii wewnątrz książki. Na pierwszej wyklejce znajduje się zdjęcie ulicy Zjednoczenia z 1925 roku, natomiast na drugiej współczesna fotografia dębnickiego kościoła, najstarszego budynku w miejscowości. Wydanie antologii to realizacja kolejnego stypendium Starosty Słupskiego, jakie otrzymałem. Nie ukazałaby się jednak ona bez pomocy Urzędu Gminy, gdyż stypendium starczyło tylko na 70 egzemplarzy antologii.

Na sali, oprócz mieszkańców gminy, znaleźli się też goście z Polski, laureaci Antałka, jurorzy, poeci zamieszczeni w antologii, wójt gminy, radni. Prezentację rozpoczęła mama najmłodszej poetki, obecnie 22-letniej Małgosi Mastyk. Autorka swój wiersz napisała, gdy miała 15 lat i chodziła do dębnickiej szkoły. Obecnie zatrzymała ją egzaminy. Swoje wiersze o ojcu zaprezentowali: Alina Rzepecka z Bydgoszczy, Łucja Dudzińska



z Poznania (jurorka tegorocznego Antałka), Zdzisław Drzewiecki z Białego Boru. Na zakończenie odczytałem wiersz nieżyjącego już Andrzeja Żoka, który przed wieloma laty miał promocję swojego tomu pt. „Branka” właśnie w sali kominkowej, oraz dwa własne utwory. Wszyscy uczestnicy imprezy otrzymali antologię w prezencie. Z „Wtorkowych Spotkań” najliczniejsza była grupa z Darłowa, za co dziękuję.

Drugim punktem imprezy był recital niewidomego poety z Po-

znania, Krzysztofa Galasa, który w duecie ze swoją żoną Aliną zaprezentował się w poezji śpiewanej. Warto zaznaczyć, że Krzysztof Galas przyjechał specjalnie na promocję antologii i wystąpił bez honorarium.

Kulminacją Dębnickiego Dnia Literatury było ogłoszenie wyników konkursu na zestaw wierszy miłosnych. Wpłynęły 253 zestawy, ale 58 zostało zdyskwalifikowanych z powodu podania pełnych danych. Zestawy napłynęły z Polski, USA,



Niemiec, Holandii, Irlandii, Nowej Zelandii i Australii. Jury w składzie: Elżbieta Fryckowska, Łucja Dudzińska, Zdzisław Drzewiecki i niżej podpisany przyznało następujące nagrody: I - Piotrowi Zemankowi z Bielska-Białej, II - Dorocie Nowak z Nowego Tomysła, III - Marcinowi Jurzyście z Torunia i Damianowi Kubikowi z Krakowa. Nagrody Młodych otrzymali: Andrzej Jagiełłowicz z Warszawy i Wiktoria Anna Milanowska z Augustowa. Za najlepszy zestaw z województwa pomorskiego nagrodzono Katarzynę Sójkę z Gdańska.

Na uwagę zasługuje gimnazjalista z Warszawy Andrzej Jagiełłowicz, który zwyciężył w kategorii młodych, czyli do lat 20. To utalentowany młody człowiek, który już laury poetyckie zdobywał. Marzy jednak, aby zostać piłkarzem.

Jak zwykle dla stopniowania napięcia laureaci odczytali swoje wiersze w odwrotnej kolejności zajętych miejsc. Imprezę zakończyła uroczysta kolacja, na której swoim dowcipem królował profesor Zbigniew Zielonka, a gospodarze wznosili toasty za gości przybyłych z Polski. Kolację przygotowała Pani Urszula Frankowska. Chciałbym także bardzo serdecznie podziękować swojej córce Marcie Fryckowskiej, która specjalnie przyjechała z Poznania, aby dowozić i odwozić gości, których odbieraliśmy ze słupskiego dworca PKP. W sumie Marta wykonała osiem kursów, za które zapłaciła przewodnicząca Komisji Oświaty i Kultury Rady Gminy, Elżbieta Fryckowska. Można powiedzieć, że to rodzinna impreza i tak czuli się zaproszeni goście, co podkreślali, żegnając się z nami.

Tradycyjnie już poeci i jurorzy spali w agroturystyce Pani Marii Jończy. Nie obyło się bez firmowych pierogów, które Pani Marysia dodaje w serdecznym pakiecie.

**Jerzy Fryckowski, Dębica Kaszubska**

**I NAGRODA**  
**- Piotr Zemanek, Bielsko Biała**

**JURA**

na jutro wspinaliśmy się bez rutyny na białe jak pościel skały  
zbliżając na dotyk wychodziliśmy z triasu niewinności  
lodowce zeszyły jura była blisko otwierała zaciemnione doliny  
unosily się pagórki jeziora rozszerzały żrenice

zamek stał otworem (mury już dawno runęły)  
cylindryczna wieża wznosiła się ponad horyzont  
dolinniałem jurajsko jurajski a ty - jak baszta starościńska  
w której zagłębienia między kamienie wkładałem dłonie i stopy  
wspinając na piętro oksfordu - odstaniałaś tajemnice zakątków

**CZARNY STAW**

góry były przed nami. czekały. stawały na drodze  
nagie. krawędzie jak ostrza kaleczyły wnętrza dłoni.  
czułe miejsca wypadły z góralskiej koliby. dolina ciemniała.  
staw stawał się czarny. mętny. parzył skórę i otwierał rany.

kiedy grań pękła wylały się stawy o aksamitnych oczach.  
smrekowe zielone podchodziły blisko. wspinałem się  
na soczyste wzgórza. okalające grzbiety. napęczniałe wargi.  
zsuwałem po gładkiej przełęczy do przedniego stawu.  
gwałtowność halnego marszczyła skórę. czerwieniła wierchy.

**II NAGRODA**  
**- Dorota Nowak, Nowy Tomyśl**

**ZAWIĄZEK**

skulona w kłębek toczyła się bezszelestnie.  
mieszkała w środku splotu w bólu zawiniętym  
na dobre i na złe zbyt często na złe.

rozbite dźwięki drgały jak szarpanie strun  
układał nutki niedbale poza jej ciałem -  
raz ciszej zbyt często głośniejsz od szumu.

prosiła aby dzień zaczynał od światła -  
wtedy zagubionych łatwiej odnaleźć.  
uciekała nocą przed widokiem sznura.

nie kochał.

**MCHY**

lubiła gdy od strony wilgoci  
jej ogrody porastał mech -  
ocienione skupisko znaków

swoją obecność  
przytwierdzała do podłoża  
za pomocą chwytników

wystarczała kropla  
by na jałowych wydmach  
rozwinęła się w darni

z zielonej podściółki  
truskawki i poziomki  
wyrastały dla niego

pośród chwastami

**III NAGRODA**  
**- Damian Kubik, Kraków**

**POMIĘDZY**

pośród twoimi włosami a moimi ustami  
rozciąga się złota nić

zawieszasz na niej czerwone rękawiczki  
kolorowe czasopisma tęskniące muszle

gdy idziemy razem przez miasto  
wesoło trzepoczą a nić lśni w słońcu

ludzie patrzą i śmieją się pod nosem

# Laureaci antańka

morskie oko patrzyło z góry na rytmicznie falujący ocean gdy  
zanurzony w wielokątach. w wielościennych bryłach skalnych.  
kruszyłem granaty. rozsypując diamentową biżuterię  
na piersiach dziewcząt. wychodzących ze zmierzwionej wody.

**BAŻANTARNIA**

zanim ziemia obiegła nas rutyną zakręciłem ci świat w głowie  
i stanęło słońce potem wielki astronom szedł cicho przez park  
my jak królewskie ptaki paradowali w tiulach i krynolinach piór

czarci jar korcił wilgotną rozpadliną uwodził miękkością ziemi  
kładałem dłonie na jej delikatnym podbrzuszu palce zwinne jak  
jaszczurki podążały swoją ścieżką przez czułe zagłębienia  
wzniesienia wyniosłe i dumne docierały do krawędzi

schodziłem stromym zboczem nad urwisko złote runo milczało  
gdy spijając słowa miłości zanurzałem się w srebrnym potoku  
mostek elewów łączył nasze brzegi

**CZTEROLISTNA BIŻUTERIA**

w podarowanych listkach  
nasze ty i ja na zielono.  
małe szczęście w srebrnej ramce.

na dłoniach i ramionach  
intymnie krąży zieleń -  
pamięć przypadkowego dotyku.

nic złego w tym że łodyżka  
wygina się na kształt czułości.  
nie prosi o więcej niż można.

dobry znak od ciebie.

a my pomiędzy nimi jakby ich nie było  
przeskakujemy smutne kałuże  
pocieszamy samotne ławki

i muskamy zalotnie nić która trzęsie się  
w rytm naszych spojrzeń

każdego wieczoru jak tylko zrzucasz z siebie codzienność  
ukradkiem odczepiam z niej wygaste świece rześiste bzy

a wtedy złota nić układa się w spokojną falę na niewinnej pościeli

pośród nami zapada sen

ciąg dalszy na str. 9

# wiersze najnowsze

Jan Stanisław Smalewski, Naćmierz

## SANITARIUSZ POLNY

Rumianek - sanitariusz polny  
Kwiat rycerstwa stał za nim  
Ledwie armie zaciężne ostatniego zdążyły  
dotknąć pola  
on już na czatach Czeppek wkładał biały  
ścielił dywan ulgi i uśmiech niósł złoty

Ze względu na urok starych fotografii  
oraz pamięć zielarki i znachora z miasta  
Z sentymentu do babcinych herbatek  
i ziołowych naparów  
przywołuję ten kwiatek polnego bogactwa

Przywołuję pamięć o złotym rumianku  
o cudownym remedium na wszelkie choroby  
Z potrzeby spójności nowego ze starym  
z uwagi na łączność chorego ze zdrowym

Naćmierz, 8 czerwca 2014 r.

Zofia Maria Smalewska, Naćmierz

## CHATY - OSTATNIE MATRONY

Chaty wiejskie - strojne matrony  
w trzcinowych kapeluszach  
jak przekupki rządami lub samotnie  
wśród tąg na wzgórkach pod lasem

Jedne białe inne niebieskie  
- bo tam panny się chowają  
zerkając przez ukwiecone okienka  
zdobne w zazdrostki

Znikają z krajobrazu wsi  
chłopskie zagrody i ich barwne ogrody  
brakuje ciekawskich słoneczników  
próżno szukać strzelistych malw

opasanych koślawym płotem  
wierzei otwieranych wiatrem  
Za chatami jeszcze parchate sady  
czasem dąb staruszek przy drodze

Ostatni świadkowie epoki ze snu  
Teraz wiejskie retro ozdobione biedą  
piękne w swej surowej prostocie  
jak staropolska gościnność

Czas tam się zatrzymał  
ugoszczony postną zalewajką  
i prażuchą w glinianej donicy  
drogą w kałużach jak lusterka słońca

Emilia Maraśkiewicz, Darłowo

## CZAS APOKALIPSY

powstańcom warszawskim

głód  
cierpienie  
śmierć  
zapowiedź końca

zmasakrowane ciała  
leje po bombach  
strzaskana kolumna Zygmunta  
ocean gmozu ochrzczony krwią

gołębiarze na dachach  
strzelają do wszystkiego  
co się rusza

cienie powstańców  
snują się w zaułkach  
w gruzowiskach  
w kanałach  
słychać jęki kroków

Krystyna Pilecka, Koszalin

## CICHO ŚPIEWAJĄ PTAKI

Cicho śpiewają ptaki  
Terli ptasich nie usłyszysz  
w cywilizacji zagubiony człowiek  
Nie dostrzeże motyla -  
bezszelestnie lecą  
delikatne skrzydła...  
Nisko trzeba pochylić głowę  
by stokrotki kwitnące zobaczyć  
I... sercem słuchać  
szelestu liści drżących  
na gałęziach...  
Tkliwością dotykać  
misternych cudów  
Matki Ziemi...  
Zachwyty...

...Jeszcze się tylko zachwycić...  
Drzewem mijanym w pośpiechu  
Człowiekiem idącym obok  
Świertgotem ptaków  
I... dostrzec promień słońca  
Igrający w liściach drzew...

...Jeszcze się tylko zachwycić...  
Uśmiechem na mijanych twarzach  
mimo woli  
Kwiatami w ogródkach wabiących motyle  
Perłami rosy błyszczącymi

po deszczu w gałęziach drzew  
I... ufnym spojrzeniem dziecka...

...Jeszcze się tylko umieć zachwycić...

Wanda Majewicz-Kulon (1943-2014)

## PEJZAŻ ŚWIATŁOCIENI

W popołudniowym słońcu  
W jeziornej wodzie  
Szafir nieba się przegłądał  
A nad szuwarami  
W słonecznym uścisku  
Skrzydła zielonookiej ważki  
Drgały leciuteńko  
Kładąc smugi migotliwych cieni

Wystarczyło kilka muśnięć  
Złocistych promieni  
By powstał niepowtarzalny pejzaż  
Bo światłocien sam w sobie  
Jest obrazem  
I obrazy stwarza...

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

## CZEKAM

Odszukaj mnie w czasie wakacji  
odszukaj  
wchodź prosto do domu  
nie pukaj.

Jak motyl ci wpadnę w ramiona  
leciutko  
tę szczęścia popłyną cichutko.

Przygamij mnie mocno do serca  
tak szczerze  
a w miłość i szczęście prawdziwie  
znów uwierzę.

Teresa Nowak, Łupawa

## TO WSZYSTKO?

Czy to już wszystko, co można dostać od życia?  
Trochę dzieciństwa beztroskiego, ptasio  
rozświertgotanego

Ciekawością krzesającego iskry na  
polnych kamieniach?

I trochę młodości górnej, chmurnej  
Optymistycznie głową w mur  
W przemądrzonym buncie  
Przeciw staremu światu i jego  
zmuśniętym zasadom?

A potem lata życia dla innych, pracy  
dla chleba,

Nieustannego godzenia różnorodnych  
obowiązków

Odkładania siebie na potem, na jutro,  
na kiedyś tam?



I osiadanie w rozdeptanych kapciach  
 zmurszałych zasad  
 Niby własnych a przecież odziedziczonych  
 Wbrew albo za porozumieniem stron.  
 A jeszcze potem święty spokój  
 I wielkie zadziwienie.  
 Że to już wszystko?  
 I co się stało z tym „potem”, „później”,  
 „kiedyś tam”?  
 Może jeszcze trochę lata się przydarzy  
 I jesieni w złotych liściach,  
 I jeszcze trochę śniegu  
 Pod stopy sypnie Bóg?  
 A potem, co ziemia dała to i weźmie...  
 I to już wszystko?  
 Tylko tyle?

Anna Karwowska, Dobieszewko

### KOŃSKIM GALOPEM

Wystarczy jeno pomyślenie  
 Wtedy czas cofa się  
 jak rak w czystej wodzie.  
 Myśli biegną do chwili  
 gdy polskie litery  
 w zeszytcie kaligrafowałam  
 i śpiewałam hymn „Jeszcze Polska nie zginęła”

z powagą, na baczność.  
 Do dzisiaj te słowa są mi bliskie  
 tak bliskie jak słowa matki.  
 Oto inny nadszedł czas  
 łubiny gasną jak świece  
 i kasztany na drodze przy polu - mdleją.  
 Końskim galopem polskość zanika  
 tak jak ścieżka do mego ogrodu  
 tylko słowa obcojęzyczne krążą wokół  
 nie wiadomo - czy to shop czy apteka.  
 Czy to potrzeba przyjaźni  
 a może obłąd pychy.

Emil Pakulnicki, Lubuczewo

### POROSTY

Mchy, ruderalne  
 i piękne lichenie  
 nadrzewne, ziemne  
 i marmurkowe  
 czerwone, żółte  
 pomarańczowe  
 jakże działacie na mnie przyjemnie.  
 Cudownie mi jest  
 gdy widzę rano po deszczu w złocie  
 jak rozwijacie się  
 w kształcie, kolorze

i te najmniejsze  
 co lupą stwierdzam,  
 aparat dając na powiększenie,  
 notatki czyniąc ważne,  
 a przecie,  
 jakby już nie na moją  
 siwąwą głowę  
 lecz nauka proszę nie urojenie  
 i jeśli jest taki dzień jak dzisiaj  
 wystroje badam pod aparatem  
 bo widok wasz wciąż mnie zachwyca  
 jak filozofa wiara w przetrwanie.  
 Są różne dziwne stworki na świecie  
 Jedne z nich to lichenie właśnie.

Jan Stanisław Mikulski, Ostrołęka

### WŚRÓD ŚWIATŁA

słońce przebija  
 czas  
 idziemy w pajęczynach  
 myśli  
 dźwigamy własne ciała  
 i serca ból wśród światła

## dębnicki dzień literatury - laureaci antałka - ciąg dalszy ze str. 7

### WIDZENIE W DWÓCH ODSŁONACH

#### przed

właściwie nie pamiętam dlaczego mi się przyśniłaś

przyszłaś nad ranem gdy moje serce obracało się jak zimny kamień  
 a ręce łapczywie chwyciły gasnącą noc  
 usiadłaś na brzegu łóżka i zanurzyłaś wiośło w rozrzuconą  
 po pokoju pościel

płynęliśmy cicho przez mgłę utkaną z wczorajszego dnia

wkładałaś swe długie palce w moje puste senne spojrzenie  
 rzeźbiłaś słowa lekkie jak dotknięcie ulotne jak myśl

śłuchaj mojego echa  
 patrz jak się staję

wskazywałaś milcząco na ulice na których gubiłaś włosy  
 ławki na których przytulałaś śpiące koty  
 nacierałaś me skronie swoim oddechem

#### po

wypluty przez noc  
 spoglądam na odchodzący sen

myśl grzęźnie jeszcze w pętli nieposkładanych obrazów  
 niewypłakanych też

na niebie eksploduje słońce  
 i rozlewa się słodką falą

dzień rozściela się jak czerwony dywan

okupujesz moje oczy

a w dłoniach kwitną strzępy nocy

### ZAMEK

najbardziej lubię gdy mówisz swoim płonącym głosem  
 rozsuń mi zamek

podchodzę do ciebie odgarniam zmęczone włosy  
 i rozsuwam powoli zamek czerwonej sukienki

z chirurgiczną precyzją otwieram twoje ciało  
 omijając soczyste tętnice i rozgrzane kości

sprężyste plecy wylaniają się z uścisku materiału  
 rażąc mnie blaskiem swojej bieli

odwracam na chwilę wzrok by nie odcisnąć na nich  
 swoich brudnych oczu

niepewnymi palcami błądzę po pustej przestrzeni

i kreślę zaklęcia stare jak świat  
 baśnie opowiadane każdej nocy od nowa

wydobynam cię całą i ofiarowuję światłości

szepczesz słowa pachnące chwilą  
 pierwsze jest milczeniem  
 ostatnie ulatuje w nieskończoność

### III NAGRODA - Marcin Jurzysta, Toruń

#### DZIEWCZYNA Z ÓSEMKA ZA PRAWYM UCHEM

Oh sister, come for me  
Embrace me, assure me

pociąg jest snem który śni się sennym starcom z witraży  
nie przeczę ja również podchodzę do nich jak do lustra  
odbij proszę piłeczkę odbij grzeszek-paproszek  
co wwierca się w oko jak kornik  
tymczasem sens toczy się bez sensu obracasz w palcach  
złoty pieniądz ściskasz w ręku kamyk zielony i inne relikwie  
bo zbyt wielu słów nie upchnęłaś do torebki  
to cały nowy kosmos a więc całkiem nowa śmierć  
dziewczyno z ósemką za prawym uchem  
powiedz co chowasz za lewym  
ćwierćnutę  
szesnastkę  
a może psalm.

#### KWARANTANNA

różni ich światło  
ona ma po swojej stronie przedmioty  
on ma po swojej stronie kształty

pośród trwa kwarantanna  
płoną bezdomne ubrania zadżumionych  
których nie można widzieć inaczej  
jak worki z kośćmi tulonymi przez matki  
robiące w międzyczasie długie ciepłe szaliki  
jak tylko worki z kośćmi tulonymi przez ojców  
kupujących w delikatesach śliwki w czekoladzie  
poczciwi zgarbieni kapłani przeliczają grzechy na litanie

różni ich światło  
ona ma po swojej stronie przedmioty  
on ma po swojej stronie kształty

\*\*\*

światło pełza jak ślina po szybie pociągu  
gdyby mogło złączyć całe ciepło w język  
to włożyłoby go między miarowy takt  
najgłębiej czując rdzawy smak podróży  
jak nocy za ciasnej żeby się minąć  
na jednym torze prześcieradła  
za ciasnej by nie wsiąść do tego samego  
pociągu który kończy bieg  
głośnym krzykiem

#### KTÓREJDY PRZYSZEDŁ DO NAS TEN WERNIKS

myśli słowa uczynki i zaniedbania pokryły  
napotkane emalie czerwonymi tatuażami  
każda plama ma imię każdą obarczamy  
twardą żywicą samo odliczającym się czasem

same szepczą się godziny klną minuty  
kneblują prawdomówne dzioby kukulek  
masz kilka wewnątrz i właśnie w to ciemne  
zabłądziliśmy podrzucając senne owady

pamiętasz jak dławili się damarą a my  
żuliśmy drobne grudki mastyksu  
zaprawdę nie będzie perły z tego bólu

czerwiec czerpie czerwień garściami  
rzuca wprost na uda i niecierpliwe sny  
uginają się pod ciężarem załamują gałęzie

### NAGRODA MŁODYCH - Andrzej Jagiełłowicz, Warszawa

#### DEMETER TĘSKNIĄCA

pierwszy śnieg zburzył spokój  
ciągle jeszcze zielonych liści  
zabrał nadzieję na ostatni pocałunek  
słonecznego kochanka  
otulił chłodną bielą  
szyje drzew  
i teraz  
w srebrzystej zieloności tonąc  
zasypiają  
czekając powrotu Persefony...

#### CZEKANIE

w serca przedpokoju zamieszkała niepewność  
od spojrzeń pełnych znaków zapytania  
dotyku zawieszono tuż nad moją dłonią  
ważnych słów ukrytych pomiędzy nic nieznaczącymi  
- które z nich są prawdziwe?

co znaczy ten uśmiech  
przesłany jak list  
w zamkniętej kopercie?  
- kto ma prawo odebrać wiadomość?

szukam odpowiedzi zamkniętych  
w szkatułce Twoich myśli  
potwierdzenia  
w kosmyku jasnych włosów  
który niedbale zaplatasz  
podróżując szlakami swoich zamysłów  
- kto jest tam z Tobą?

cierpliwie czekam  
najmniejszego gestu Twego serca  
by powiedzieć Ci ...

kocham...

#### JUTRZENKA

zaszeleścił ulewiście  
otoczył zapachem  
słodkich poziomek  
i słońcem nagrzanym jagód

kroplami deszczowymi  
wypełnił jej duszę

narzuciła więc na głowę  
z pajęczyn utkany welon  
kruchą radość  
wpięła we włosy  
jak różę

i zetknęły się ich światy  
by zniknąć za chwilę

a potem  
pozostawił  
ukryte w trzcinach  
cienie wspomnień

letni deszcz  
niestały  
ulotny

i teraz  
ona już wie

nie stawia się pytań  
- jak długo?  
tylko pyta  
- jak mocno?

rozkołysane drzewa  
szepczą bajki na dobranoc

## NAGRODA MŁODYCH

- Wiktoria Anna Milanowska, Augustów

\*\*\*

chwila  
trzymam cię za rękę  
sto tysięcy uderzeń serca  
puk-puk  
jesteś obok za kurtyną pragnień

druga chwila  
mechanizm wdech-wydech szwankuje  
może przez świadomość bycia  
waria(n)tem

niby-różnica chwil  
jak między kilkoma literami  
w rozczarowaniu i zaczarowaniu

mówię cicho  
spójrzmy prawdzie w oczy  
a jeśli mogę nazwać cię prawdą  
to prawda jest koloru błękitnego

kilka chwil później  
choć chwila chyba  
jest rzeczownikiem policzalnym

to po uczuciu została palpacja  
symetria złożonych rąk  
głupota z nadziei usypiana  
i nie policzę ile chwil tęsknoty

\*\*\*

Kilka miesięcy strat w życiorysie,  
Przez szwankujący mechanizm odbierania świat(ł)a.  
Szukałam pod-tekstu w słowach, próbuję nadal  
zdaniem, wyrazem, przecinkiem i odstępem nawet - obrócić  
każde istnienie.

Ludzie, wyczarujecie cały świat, tworząc wczoro(raj)  
wio-sennie wypełniając po brzegi kolorem nieistniejącym  
krucho szklanki  
w których życie przelewa się, a potem lepi na stole.

Szukam sensu w skrajności, nieścistości i obcości  
pod-poduszką, pod-krzesłem, pod-talerzem  
pod-świadomością nawet szukam.

Przypadłości w dwuznaczności wyliczyć potrafię zgrabnie:  
Młodzi twierdzą, że wszystko „n a m n i e”.  
Wszyscy (naj)lepsi, chociaż (od)izolowani od prawdy.  
Staramy się, krzyczymy: to-nie-my!

Co (naj)gorsze, natógowo ob(ie)cujemy.

\*\*\*

nie założyli mi różowych okularów  
nie dali na deser słodkiego smaku uczucia  
nie zadali pracy domowej z której  
wyczytałabym  
skąd się biorą endorfiny i serotonina

jedyne co widzę i opisać mogę  
to miłość na manekinach  
skrojonych na idealny rozmiar  
walka o względy dzieci trzeciego świata  
ludzie-węże zmieniający skórę  
telewizja też jakaś taka paradoksalna  
mówi że zabijamy czas  
a potem uciekamy od siebie przez jego brak  
to przecież jest związane z miłością

i jeszcze  
ja  
i ty  
niby liter tyle samo  
a jednak to już my  
a my  
to więcej niż ja  
albo tylko ty  
to czasem warte  
nawet więcej  
niż świat  
choć krótsze  
a potrzebniejsze  
niż endorfiny  
i serotonina  
razem wzięte

**STRYCH**

pomarańczowe światło wpada  
w przestrzeń na poddaszu  
tu nakładają się czasy przeszłe  
jak warstwy kurzu  
na pożółkłej materii  
każda ma swój początek  
epizod  
i postać czarnej dziury  
w pamięci  
na wszystkie strony rozciąga się  
system ochrony z pajęczyn  
jedno dotknięcie przedmiotu  
strącona drobinka pyłu  
uruchamia wybuch wspomnień

**TELEGRAM**

w środku betonowego miasta  
na zielonym pikselu ogródka  
serwują koktajl z deszczówki  
ktoś puszcza mi z góry  
zaczepne zajaczkę w oczy  
jakby chciał alfabetem morsa  
przekazać pouczającą treść  
odpowiadam budując tęczę  
wężem schwytanym w cieniu  
słońce zaszło

**POŁÓWKI**

dzielimy sprawiedliwie  
oko za oko, ząb za ząb  
z półkul mózgu i serca  
korzystamy na zmianę  
współzjemy  
narząd w narząd  
dzień i noc  
i mimo to  
nie wie lewa ręka  
co czyni prawa  
za plecami

# Los mnie prowadził smutnymi ścieżkami



W Wydawnictwie SPES w Krakowie ukazał się debiutancki tomik wierszy Barbary Sienkiewicz-Matusik ze Słupska pt. „Miłość i skarga”. Można też powiedzieć, że autorka wydała drukiem jeden długi poemat opisujący zawiłości pełnego dramatów jej życia

W Postwowie swojej książki do Czytelnika B. Sienkiewicz-Matusik napisała: „Świat ujrzałam w okolicach Warszawy. W Radziejowicach chodziłam do szkoły podstawowej, szkołę średnią ukończyłam w Piasecznie, a studia - Akademię Rolniczą w Szczecinie. Życie zawodowe miałam bardzo satysfakcjonujące. Pracowałam w administracji państwowej i resortowej, gdzie zajmowałam się rozwojem rolnictwa w regionie słupskim. W dzieciństwie los mnie prowadził wyjątkowo smutnymi ścieżkami: jako siedmioletnią dziewczynkę osierociła mnie mama. Gdy wreszcie spełniło się marzenie o miłości - wyszłam za mąż. Los zabrał nam małą, sześciotygodniową córeczkę, a zaledwie po 20 latach małżeństwa los zabrał mi ukochanego męża. Fakty te ukształtowały w mojej osobowości wyjątkową wrażliwość. Wtedy zaczęłam się skarżyć na swój los, pisząc wiersze - różnego rodzaju skargi. Tak zagłębiałam się w poezję, pisząc przez 30 lat, które są w moim środowisku mile widziane. Obecnie postanowiłam pokazać światu tomik wierszy, W następnej kolejności przedstawię historię życia mojej mamy w poemacie pt. „Złamana lilia”. Zainteresowania mam bardzo szerokie, więc ciągle pogłębam swoją wiedzę z zakresu przyrody i historii. Uwielbiam książki, przyrodę, muzykę i taniec. Jestem osobą pogodną i

otwartą, mam wielu przyjaciół, którzy dostarczają mi wiele ciepła i wsparcia w działaniach. Największą moją radością jest szczęście mojego syna i jego najbliższej rodziny.”

Jolanta Nitkowska-Węglarz, prezes słupskiego oddziału ZLP w Słupsku zachęcając do lektury tomiku debiutującej poetki, na obwolucie okładki tak ripostuje i wyjaśnia: „Barbara Sienkiewicz-Matusik przekazuje do rąk Czytelników debiutancki zbiór wierszy, udowadniając, że na poetyckie rozmowy nigdy nie jest za późno. Dojrzały wiek obfituje w refleksje, wspomnienia, oceny, życiowe obrachunki, którymi autorka pragnie się podzielić. Inspiracją do wypowiedzi staje się przyroda, obrazy domu rodzinnego zapamiętane z dzieciństwa. Autorka przekazuje bolesne tęsknoty osieroczonego dziecka, doświadczenia życiowe, zapisy rodzinnych nieszczęść. Ogromny głód uczucia widoczny jest prawie we wszystkich teksach, więc szczególne miejsce zajmuje cykl poświęcony historii miłości. Autorka tworzy oryginalny scenariusz, prowadząc Czytelnika poprzez szczegóły ujawnionych doznań - od nadziei niesionej przez budzące się uczucie, różnorodności nastrojów, poprzez tęsknoty, zwątpienia, aż po rozczarowania i rozpacz. Wiersze Barbary Sienkiewicz-Matusik są swoistym zwierzeniem kobiety dojrzałej, która przygląda się własnemu życiu z dystansu lat i doświadczeń.”

Trzeba jeszcze dodać, że są to wiersze napisane z dużą starannością stylistyczną, nastrojowe, dobrze się je czyta, zilustrowane zostały fragmentami m.in. obrazu „Miranda” Johna Williama Waterhouse’a, a także reprodukcjami obrazów: „Blind woman” Diego Valazqueza, „Jabłoni” Leona Wyczółkowskiego i „Portret Dziecka” Stanisława



Wyspiańskiego. W tomiku umieszczone zostały także rodzinne zdjęcia autorki i rysunki Katarzyny Matusik. Do niektórych testów autorka napisała muzykę i dołączyła do nich nuty. Zachęca zatem do ich zaśpiewania. Konsultacji muzycznych udzielił jej - co zostało zaznaczone w tomiku - Tadeusz Picz (ze słupskiej Państwowej Filharmonii „Simfonia Baltica”).

Na okładce, oprócz zacytowanego tekstu J. Nitkowskiej-Węglarz mamy też umieszczony fragment wiersza „Pragnienie”: Warto go zacytować: „Kształtowałam przyszłość, / moc przedsięwzięć brałam, / by działanie postać splendorem okryło. / Nie tylko marzyłam. Ciężko pracowałam, / by moje imię / na szczęście zasłużyło”.

Czy B. Sienkiewicz-Matusik zasługuje na szczęście? Wnikliwy Czytelnik po lekturze wierszy sam z pewnością sobie odpowie na to pytanie. Przekona się też, jak można kochać, ile mieć w sobie tęsknoty, żeby napisać tak chwytające za serce wiersze. A to jeszcze nie koniec, bo autorka zapowiada przecież drugi tom przedstawiający życie jej mamy. Zna już nawet jego tytuł i zapewne ma dokładnie podzielone je na

rozdziały odpowiednio ponazywane i zilustrowane - zrobiła tak z wierszami z omawianego tomu. Pod tym względem jest też perfekcyjna i dobrze wie, czego oczekuje od siebie i wydawcy.

Barbara Sienkiewicz-Matusik dała o sobie znać już wcześniej w naszej (powiatowej) antologii poezji pt. „Zagraj skrzypeczku (melodię spod lipy)”, w której zamieściła dwa wiersze: „Przywiej mi wietrze” i „\*\*\* (dokąd wzrok mój sięgał)”. Czytała swoje utwory na zebraniach Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie”. W tym miejscu muszę przyznać, że przyszła do starostwa z propozycją wydania jej tego tomu wierszy. Nie otrzymała jednoznacznej deklaracji i poszukała sobie innego wydawcy - w Krakowie.

Warto sięgnąć po ten tomik, także po to, żeby przekonać, że we współczesnym świecie poezja wcale nie musi być w swej warstwie słownej i stylistycznej skomplikowana.

**Z. Babiarz-Zych, Słupsk**

Barbara Sienkiewicz-Matusik, „Miłość i skarga”, Wydawnictwo SPES, Kraków, 2014.

# król łgarzy

*Do Fryckowskiego przyłgnęła etykieta poety konkursowego. Wygrał niezliczoną ilość mniej lub więcej znaczących konkursów. Jeszcze więcej zdobył wyróżnień - co nie umniejsza jego pozycji w szeregu najlepszych poetów minionego ćwierćwiecza*



Konkursy a wydawanie książek to dwie różne sprawy. Fryckowskiemu udało się pogodzić jedno z drugim. Godne uwagi jest to, że w przeciwieństwie do większości konkursowiczów - Fryckowski pisze nieustannie swoją odrębną, rozpoznawalną lirykę. Wszechstronny to poeta, z równie dobrym skutkiem pisze poezję awangardową, jak i klasyczny sonet. Proza poetycka, też jest jego mocną stroną. Fryckowski nie bywa poetą - jest nim. Poezji oddał swoje najlepsze lata, i - jak mówi - przyjdzie mu z nią umrzeć. Debiutował w 1978 roku, w wieku 21 lat. Wydał dotąd szesnaście książek

poetyckich, co jest dorobkiem imponującym. Jeśli dodać do tego publikacje prasowe, działalność artystyczną, animacje, pracę w oświacie i kulturze - to dorobek poety urasta do rozmiarów budzących podziw i szacunek.

Poezja Fryckowskiego musi się podobać. Czytelnicy chętnie kupują jego książki. Zawsze skromny, zawsze sympatyczny potrafi wciągnąć każdego w swoje opowiadki, anegdoty i długie monologi zaskakując ogromną wiedzą z wielu dziedzin. Nie na darmo nosi miano „Największego łgarza” - tytuł ten otrzymał w Bogatyni. Z wszystkich wyróżnień jakie posiada, ten jest najbardziej okazały, w jego ocenie. Jest w tym określeniu rdzeń poezji Fryckowskiego, kto miał przyjemność poznać poetę z Kaszub, ten będzie zawsze z nim w kontakcie. Wielu poetów dominowało na mojej

drodze, żaden nie miał w sobie tyle energii wynikającej ze stoickiego spokoju? Jurek jest do rany przyłóż, równocześnie zadający rany, które nie krwawią, więcej - są jak stygmaty na psychice: „nigdy nie zapomnisz i będziesz miał mnie na uwadze, nawet wtedy, kiedy stracisz pamięć.”

Nie piszę o jego najnowszym tomiku, bo i po co? Fryckowskiego się czyta, pisać o jego poezji to powtarzać wyłącznie dobre słowa.

Ostatni tom „Chwile siwienia” jest nagrodą w konkursie im. Wacława Iwaniuka, Siedliszcze 2013. Był nominowany do „Lubuskiego Wawrzynu” i ma szansę na dalsze wyróżnienia, pod warunkiem, że w środowisku, w którym jest zrzeszony zostanie wreszcie doceniony. Ostatni jego tom zrobił na

mnie olbrzymie wrażenie. To już Fryckowski nieosiągalny dla wielu poetów. W kontekście tego skromność jest jego wadą, z której korzystają inni poeci w bezwzględnej walce o regionalny Parnas. Bo od tego obszaru zaczyna się ekspansja na szerokie, krajowe poetyckie wody.

Nie sądzę, aby taki stan miał trwać wiecznie. Poezja sama się broni, w przypadku Fryckowskiego ma to już miejsce, ten proces trwa od kilku lat. Natomiast mierna poezja potrzebująca wizerunkowego wsparcia, nie ma szans

zaistnieć na dłużej, niż jedno czytanie. W większości jest to czytanie przerywane po kilku tekstach.

Cały nowy tomik Fryckowskiego jest naszpikowany doskonałymi wierszami. Jest to książka, do której będę wracał często.

**Jerzy Benjamin Zimny, Poznań**

Jerzy Fryckowski: „Chwile siwienia”, Nagroda główna w VII Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Wacława Iwaniuka - Siedliszcze 2013, Wydawnictwo TAWA, Chełm 2013.



# Zemsta



*Siódma. Czy ten cholerny czas nie mógłby płynąć szybciej? Najchętniej upiłaby się albo spróbowała zasnąć. W domu nie było jednak ani grama alkoholu, a ona nie miała siły, żeby pójść do sklepu*

O zaśnięciu w takim stanie też nie mogło być mowy. Pozostawało leżeć, patrząc tępo w ścianę. Do północy, bo o tej porze, tak umówiła się z Maćkiem, mąż najpóźniej pojawi się w domu.

Nie przypuszczała, że przygotowania Maćka do wyjścia okażą się tak trudne. Przynic, mycie zębów, zakładanie koszuli - zwyczajne czynności, a każda bolała jak policzek. Siedziała na sofie z podkulonymi nogami i w milczeniu obserwowała jego nerwową krzątaninę.

- Nie wiesz może, gdzie jest moja nowa woda? - stanął przed nią, zapinając mankiety.

- Tutaj. Odsunęła szufladkę i podała mu beżowe pudełko.

„Christopher Columbus” - prezent dla Macieja na czterdzieste urodziny. Tyle czasu spędziła w drogerii, próbując znaleźć jakiś oryginalny zapach... Patrząc teraz, jak wklepuje kosmetyk w policzki, wiedziała, że nigdy więcej nie pozwoli mu go użyć.

- Naprawdę ładnie pachnie - uśmiechnął się.

Wykrzywiła usta w odpowiedzi, a potem wstała z fotela i szybkim krokiem opuściła pokój. W kuchni od razu otworzyła zmywarkę. Brała do rąk jeszcze ciepłe naczynia i wrzucała z hukiem do szafki. Pomogło, ale tylko na chwilę. Wystarczyło, że niesiona szklanka upadła na podłogę, a tłumione emocje od razu znalazły ujście w gwałtownym szlochu. Szybko doprowadziła się do porządku, ochlapując twarz zimną wodą.

- Dariu, wychodzę! - Maciek na moment pojawił się w kuchennych drzwiach.

W niebieskiej koszuli, nowych dżinsach i wypastowanych mokasynach prezentował się naprawdę dobrze. „Aż tak ci zależy, żeby zrobić wrażenie?” - pomyślała z żalem. Powłókała się za nim do przedpokoju.

- Wszystko w porządku? - zapytał, obejmując ją. Poczwała intensywny zapach wody toaletowej.

- „Nie! Nic nie jest w porządku, odwołajmy to, zostań ze mną!” - miała ochotę zawołać. Zamiast tego wydusiła z siebie ciche: Tak. Kocham cię. - A ja ciebie. Mam nadzieję, że to nam pomoże...

- Ja też. Nie martw się. - Zwolnił uścisk i delikatnie, lecz stanowczo odsunął ją od siebie. Otworzył drzwi.

- Poczekaj! - zawołała, kiedy był już na schodach.

Zatrzymał się.

- Masz... wiesz co? - Poczwała, że się rumieni.

- Mam - odparł.

- Uważaj na siebie.

- Będę uważał. Nie wołaj mnie już, bo się rozmyślę.

- Dobrze, pa!

- Pa! - Zbiegł po schodach, ani razu się nie odwracając.

Stała przy kuchennym oknie, czekając aż wsiądzie do taksówki. Potem od razu poszła do sypialni i w ubraniu

wsunęła się pod kołdrę. Otuliła się po samą szyję, zaskoczona dreszczami, które nagle ogarnęły całe jej ciało.

Pomysł był Darii. Maciejowi początkowo wydał się absurdalny. Nie do zaakceptowania.

- Nie jesteś o mnie zazdrosna? Nie kochasz mnie już? - drążył.

- Chcę tylko, żebyśmy się od tego wreszcie uwolnili, chcę zacząć normalnie żyć!

- Przecież nie masz pewności, że to pomoże. Próbowaliśmy już wszystkiego...

Dzień wcześniej wrócił z imprezy firmowej na lekkim rauszu. Zauważyła, że jest jakiś inny, bardziej pewny siebie, weselszy. Tak rzadko bywał ostatnio w dobrym nastroju, że od razu zwróciła na to uwagę.

- Wyobraź sobie, próbowano mnie dzisiaj uwieść - zdradził przyczynę swojego samopoczucia, kiedy leżeli już w łóżku.

Roześmiała się zaskoczona.

- Kto taki?

- Natalia, no wiesz, ta z działu badań i rozwoju. Przystawiała się do mnie przez cały wieczór. W końcu zaproponowała, żebyśmy urwali się z przyjęcia i poszli gdzieś tylko we dwoje.

- I co? - Serce zaczęło jej walić jak oszalałe.

Maciej milczał dłuższą chwilę.

- Nic - odezwał się w końcu. - Powiedziałem, że żona na mnie czeka.

- To dobrze powiedziałeś...

W oczach męża zauważyła dobrze znany cień.

- Szkoda, że ty... - zaczął, ale zamknęła mu usta głębokim pocałunkiem.



- „Boże, jestem zazdrosna!” - dziwiła się, kiedy już po sprovokowanym przez nią zbliżeniu - musiała natychmiast potwierdzić swoje prawo własności! - leżała naga w jego ramionach. Maciek nigdy wcześniej, a byli razem od prawie dziesięciu lat, nie dał jej nawet cienia powodu do tego przykrego uczucia. „Istniejesz dla mnie tylko ty” - powtarzał często, a ona mu wierzyła.

Tamtej nocy prawie nie spała. Długo przyglądała się śpiącemu mężowi: obciętym tuż przy skórze jasnym włosom, które w ubiegłym roku w ciągu jednej nocy niemal zupełnie posiwiły na skroniach, pionowej zmarszczce na czole, ładnie wykrojonym, zmysłowym ustom... Na myśl o tym, że jakaś baba chce jej go odebrać, poczuła mdłości. Jak to dobrze, że

dał jej kosza! A może niedobrze? - nagła myśl sprawiła, że zadrdzała. Może powinien być z nią pójsć? Zjeść kolację w jakiejś miłej restauracji, może nawet wynając pokój na godziny...

Takie myśli sprawiały jej ból, katowała się jednak nimi do rana. Gdzieś pod uczuciem paraliżującej zazdrości pojawiło się bowiem inne - nadzieja. Czy to możliwe, że znalazła rozwiązanie?

Kiedy mąż wyszedł następnego dnia do pracy, od razu włączyła komputer i zalogowała się na Facebooku. Maciek nie miał zbyt wielu wirtualnych znajomych, znalezienie Natalii zajęło jej zaledwie chwilę.

Dobrze skojarzyła, to ta długowłosa brunetka, którą rok wcześniej poznała na zorganizowanym przez firmę rodzinnym pikniku. Miała nieciekawą, źle „zrobioną” twarz: gruba warstwa różu nałożona na policzki, rubinowe usta, pomalowane na sztywno rzęsy... Uwagę zwracała jednak figura: talia jak u osy i okrągłe, bardzo kobiece biodra. Do tego zgrabne nogi, które teraz, na facebookowej fotografii z wakacji, Daria mogła podziwiać w całej okazałości. No cóż, ona nie była aż tak szczupła, za to buzię miała zdecydowanie ładniejszą. I wyglądała młodziej, choć - jak się okazało - była od Natalii o całe cztery lata starsza.

Znajoma męża niechętnie udzielała się w sieci: parę „lajków” pod piosenkami, dwa udostępnienia zdjęć poszukiwanych dzieci, kilka banalnych komentarzy pod fotkami przyjaciółek - żadnych głębszych refleksji. No tak, pani inżynier, umysł do bólu ścisły, czego się spodziewałam? - pomyślała Daria z uczuciem wyższości. Sama - humanistka, považała tak naprawdę wyłącznie ludzi zajmujących się literaturą. Wyjątek stanowił Maciek.

Kończąc przeglądanie profilu Natalii, była pewna, że



znalazła właściwą osobę. Średnio ładna, niezbyt - według kryteriów stosowanych przez Darię - bystra, nic nieprzewidzianego nie powinno się wydarzyć. Teraz musiała jeszcze przekonać do swojego pomysłu męża.

- Podoba ci się ta Natalia? - zapytała go tego samego dnia przy kolacji. Byli w dobrych nastrojach: Daria przygotowała ulubione danie męża - zapiekankę z brokułami, kupiła też wino.

Słucham?

- No ta, która cię wczoraj próbowała poderwać. Podoba ci się?

- Nie - odparł krótko. - Co to zresztą za idiotyczne pytanie?

- A gdybyś był sam... - wróciła do tematu po chwili - Jest w niej coś takiego, co mogłoby cię zainteresować?

Wzruszył ramionami.

- Wiesz, nie chodzi mi o zakochanie, a o czysty seks. Czy wyobrażasz sobie, że idziesz z nią do łóżka? - drążyła.

- Wyobrażam sobie, że idę do łóżka z tobą... - Uśmiechnęła się i dotknął pod stołem jej kolana.

- Okay, okay, źle się wyraziłam. Pytam o to, czy mogłaby wydać ci się pociągająca? Wiesz, wieczór, hotelowy pokój, tylko ona i ty...

- Boże, ona chyba zwariowała! Jak można podsuwać własnemu mężowi takie wizje?! Maciek był najwyraźniej podobnego zdania, bo patrzył na Darię jak na kosmitę.

- Cholera, przecież nie wygląda jak jakaś smoczyca! Jasne, że mogłaby wydać mi się pociągająca! Do czego zmierzasz? - zdenerwował się.

Wtedy mu powiedziała.

- Seks jako terapia? Chcesz, żebym się zemścił? - Pomysł żony naprawdę go zszokował.

- Raczej wyrównał rachunki. Wiesz, niektórym to pomaga...

- Ale ja cię kocham, nie chcę cię zdradzać!

- A ja kocham ciebie i nie chcę, żebyś tak cierpiał. Proszę, zastanów się nad tym. Jakoś to przeżyję, a potem... potem na pewno będzie lepiej.

- Nie, to idiotyczny pomysł. Nigdy więcej nie proponuj mi czegoś takiego! - Maciej był wściekły.

- Dobrze - przytaknęła, w głębi duszy planując jednak kolejne podejście. Musiała tylko poczekać na bardziej sprzyjające okoliczności.

Pojawiły się po tygodniu. To był trudny czas, mijał właśnie rok od tamtych październikowych wydarzeń. Wszystko wróciło: milczenie, spojrzenia pełne wyrzutu, nocne izolowanie się w łóżku. I ciąg niekończących się pytań.

- Może jednak w... tę panienkę i będziemy mieć wreszcie spokój?! - krzyknęła zirytowana po kilku godzinach przesłuchań.

- Może i w... - mruknął.

- Słucham? - Aż podniosła się na poduszce.

- Zgadzam się. Możemy spróbować. Mam już tego wszystkiego dość. Może dzięki temu naprawdę poczuję się lepiej...

Czekała na taką deklarację, modliła się o nią, a jednak teraz, kiedy się wreszcie zdecydował, poczuła tylko wielki smutek. I zawód. A może jednak Maciek nie kochał jej tak bardzo, jak zawsze twierdził?

- Kiedy i gdzie? - zapytała, próbując nadać swojemu głosowi obojętny ton.

- Jutro się z nią umówię.

Natalia zgodziła się od razu. Mieli spotkać się w piątkowy wieczór, w zasugerowanej przez Darię przytulnej greckiej restauracji na peryferiach miasta. Tuż za nią znajdował się nieduży motelik. Namówiła męża, żeby zrobił rezerwację.

- Natalia powiedziała, że ma czas aż do rana, bo „stary” wyjeżdża na delegację - opowiadał Maciek.

- Super, ale ty wrócisz wcześniej, prawda? Nie zostaniesz z nią na noc?

- Tak, oczywiście.

- I nie powtórzysz tego?

- Zwariowałam?

Wet za wet, prawda? - upewniała się.

- Dariu, przecież to nie był mój pomysł. Zawsze mogę się jeszcze wycofać...

- Nie, nie! Już dobrze. Nie ma tematu.

Im mniej czasu dzieliło ich od spotkania, tym mniej było w niej pewności, że słusznie postąpiła. Postanowiła jednak doprowadzić swój masochistyczny plan do końca. Czym było

jej cierpienie wobec jego, ciągnącego się całym miesiącami, bólu?

Najpierw był szok. Na przemian to obrzucał ją wyzwiskami, to zanosił się płaczem. Potem próbował się odizolować, zaczął mówić o rozwodzie. W końcu, po około trzech miesiącach, pogodzili się, ale on wpadł w depresję. Byli nawet kilka razy u terapeutki, lecz zamiast pomóc, tylko wszystko zaogniła, tak przynajmniej twierdził Maciek, od zawsze sceptyczny wobec tej dziedziny nauki. Po czwartym spotkaniu odmówił kontynuacji terapii. „Co ta baba wie o miłości?” - pytał. Daria podejrzewała, że nie podoba mu się, iż psychoterapeutka, próbując znaleźć przyczynę ich kryzysu, analizowała także jego zachowania. Według Macieja, winna była wyłącznie żona.

Depresja była gorsza niż wszystkie wcześniejsze etapy razem wzięte. Już o nic nie pytał, całymi godzinami siedział za to nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ścianę. Oczywiście, zdarzały się także lepsze dni - wtedy wydawało się, że jest między nimi tak jak dawniej, a może nawet lepiej: kochali się z większą czułością i namiętnością, dużo rozmawiali. Wystarczyło jednak jakieś drobne wydarzenie, czasem jedno słowo, aby znów pogrążył się w smutku. Daria coraz częściej, zamiast współczuciem, reagowała na zachowania męża złością.

Początkowo chciała spędzić ten wieczór poza domem. Planowała, że odwiedzi Gabrysię, nie widziały się od paru dobrych tygodni. Kiedy jednak drzwi za Maćkiem się zamknęły, wiedziała już, że nigdzie nie wyjdzie. Wysiłkiem ponad siły wydawało się nawet wykonanie telefonu do przyjaciółki i odwołanie spotkania. Leżąc w łóżku, szczykała zębami jak przy czterdziestostopniowej gorączce. Nie mogła przy tym nawet na chwilę przymknąć oczu, bo od razu wyobrażała sobie Maćka z Natalią. Najpierw w restauracji, potem w hotelu...

Spojrzała na zegarek. Dziesięć po ósmej. Może do niczego jeszcze nie doszło... Pod wpływem nagłego impulsu sięgnęła po telefon. Drżącymi palcami wystukała numer męża. Miła pani w słuchawce poinformowała, że abonent znajduje się poza zasięgiem. Próbowala jeszcze kilka razy, zawsze z tym samym skutkiem. Beze zdenerwowania zrobiło jej się niedobrze. Musi tam jechać, musi ich powstrzymać! Ponownie wzięła do ręki telefon, tym razem z zamiarem zamówienia taksówki, kiedy jednak usłyszała głos dyspozytora, rozłączyła się. Nie, nie miała ani siły, ani odwagi na taki krok. Wróciła do łóżka i zamknęła oczy. Nagle poczuła się bardzo zmęczona.

Śnił jej się wrzeszczący Maciek.

- Ty suko! - krzyczał, uderzając szklanką z whisky o blat stolika. - Ty pieprzona szmato! - Literatka rozprysła się na podłodze na dziesiątki drobnych kawałeczków. Daria schyliła się i na kolanach zaczęła wybierać szkło spomiędzy nagich stóp Maćka. Odepchnął ją z taką siłą, że przewróciła się na plecy. - Sp...! - wrzasnął. - Sp..., bo cię zabiję!

Nagle wściekłą twarz męża zastąpiła twarz tamtego mężczyzny. Spocona, nabrzmiała podnieceniem.

- Chcesz więcej? - chrząknął.

Obudziła się z krzykiem. Jak zawsze, kiedy śniły jej się te sceny. Wracali bardzo często, jak dzieje się czasem z wypartymi do podświadomości przykrymi wspomnieniami. Otworzyła oczy i przez chwilę nie potrafiła sobie niczego przypomnieć. Dlaczego śpi w ubraniu przy zapalonym świetle? Gdzie jest Maciek? Świadomość wróciła dopiero, kiedy spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza.

Zdenerwowana spóźnieniem męża, zaczęła szukać telefonu. Zanim udało jej się go jednak znaleźć, usłyszała łomotanie do drzwi. Struchlała. Na palcach wyszła do przedpokoju i zerknęła przez wizjer. Za drzwiami stał Maciek. Pijany w sztok.

- O, moja piękna żonka! - zawołał, wchodząc do

mieszkania. Zachwiał się, więc szybko podała mu ramię.

- Maciuś, co się stało? Gdzie byłeś?

- W restauracji - wybełkotał.

- Z Natalią?

Zatrzymał się i oparł o ścianę. Potem spojrzał żonie prosto w oczy. Miała wrażenie, że nagle wytrzeźwiał.

- Z jaką Natalią? Nawet z nią nie rozmawiałam!

- Słucham?! - Z emocji zakręciło jej się w głowie. - Nie byłeś z Natalią? Nie zdradziłeś mnie? - wybuchnęła płaczem. Czuliła się jak skazaniec, któremu odwołano karę śmierci.

- Nie - odpowiedział. Odepchnął się od ściany i chwiejnym krokiem ruszył do drzwi. Co chwila potykał się, więc dogoniła go i złapała za rękę. Razem weszli do sypialni. Tam pomogła mu zdjąć koszulę i spodnie, a potem mocno otuliła koldrą.

Już po minucie usłyszała rytmiczne pochrapywanie. Zapobiegliwie przyniosła do pokoju plastikową miskę. Potem położyła się przy mężu i z głową na jego ramieniu zasnęła.

Obudziła się o świcie. Sama - łóżko Maćka było puste. Zawołała go, ale odpowiedziała jej cisza. Wstała i wyszła z pokoju. Pewnie jest w łazience - pomyślała. Przechodząc obok garderoby, uśmiechnęła się radośnie do swojego odbicia.

- Wołałaś mnie? - Mąż stał w drzwiach salonu. Ku zaskoczeniu Darii kompletnie ubrany.

- Już wstałeś? Dobrze się czujesz? - Zrobiła w jego kierunku kilka kroków. Zatrzymał ją gestem ręki. Z zaciśniętymi ustami i zmarszczonym groźnie czołem wyglądał jak szykujący się do ataku zwierzę.

- Co się stało? - wydusiła przez zaciśnięte ze strachu gardło.

- Wyprowadzam się.

- Co? Dlaczego?

- Nie chcę być z kimś, kto mnie nie kocha.

- Maciuś, o czym ty mówisz? - Przypadła do niego. Zaczęła go obejmować i całować, on jednak pozostał nieruchomy.

- Od zeszłej jesieni miałem wątpliwości, a ten twój głupi pomysł... Upewniłem się. Miałem nadzieję, że się opamiętasz, że mi na to nie pozwolisz... Do ostatniej chwili miałem nadzieję - głos mu się załamał, ale szybko doprowadził się do porządku. Znów patrzył na żonę z pogardą.

- Maciusiu, przecież to z miłości... - wyszeptwała.

- Z miłości? - prychnął. - Ja nie potrafiłbym sobie nawet wyobrazić, że całujesz kogoś innego, nawet to by mnie zabiło, a ty bez mrugnięcia okiem zgodziłaś się, żebym poszedł do łóżka z inną kobietą! - zaczął krzyżeć. - To chore! Jesteś chora, zбочzona! Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! I to jest ostateczna, absolutnie ostateczna decyzja! Wyswobodziłem się z objęć żony i zniknął w drzwiach salonu. Po chwili wyszedł stamtąd, trzymając w ręku sportową torbę, z którą zawsze jeździli na wczasy. Minął Darię bez słowa i sięgnął po klamkę.

- Macieńku...

- Na razie zabieram tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Resztę za kilka dni. Zadzwoń.

Nie umiałaby określić, ile czasu spędziła na podłodze przedpokojem. Chciała gdzieś zadzwonić, prosić o pomoc, ale nagle zorientowała się, że nie ma nikogo, komu potrafiłaby o tym wszystkim opowiedzieć. Przecież musiałaby przyznać się do zdrady, od tego wszystko się zaczęło... Co z tego, że wypita kilka kieliszków wina, a tamten facet praktycznie ją zgwałcił? Rozmawiała z nim w barze, flirtowała, wpuściła do swojego pokoju. To było - jak twierdził Maciek - oczywiście zaproszenie do seksu. „Zero taryfy ulgowej!” - krzyczał. - Zachowywałaś się jak ostatnia kurwa!” Na samo wspomnienie tych słów, poczuła się jeszcze gorzej.

- Boże, ja zwariuję, zwariuję, Boże! - tłąta głośno.

Znów pojawiła się myśl o telefonie. Musi gdzieś



zadzwoić, gdziekolwiek, byle tylko usłyszeć normalny ludzki głos!

Staniając się, weszła do pokoju. Sięgnęła po komórkę. Przebiegła wzrokiem nazwiska zapisane w telefonie. Ani jednej osoby, z którą miałaby chęć się skontaktować. Raptem wszyscy ci ludzie - nawet ojciec i siostra - wydali jej się kompletnie obcy!

- Co ja mam robić? Co ja mam robić? - powtarzała jak mantrę, ściskając w rękę aparat.

Nagle przypomniała sobie o wieczornej próbie połączenia się z Maciejem. Przecież do niego dzwoniła, chciała wszystko odwołać!

Drżącymi palcami zaczęła wybierać numer męża. Po chwili usłyszała w aparacie jego zirytowany głos.

**Hanna Dikta, Piekary Śląskie**

Hanna Dikta - rocznik 1977. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Śląskim oraz studium podyplomowe z historii na Uniwersytecie Opolskim. Píše poezję i prozę. Publikowała m.in. w „Pograniczach”, „Arkadii”, „Arteriach”, „Migotaniach”, „Toposie”, „Odrze” i „Śląsku”. Laureatka kilkunastu ogólnopolskich konkursów literackich. Debiutowała książką poetycką pt. „Stop-klatka” („Zeszyty Poetyckie”, Gniezno 2012). Mieszka w Piekarach Śląskich, gdzie pracuje jako nauczycielka języka polskiego i historii.

# władzia



*Z niezwykłą wprawą pakowała kolejną paczkę. Zdecydowanymi ruchami oklejała taśmą.*

*- Która to już paczka? Piętnasta? Szesnasta? Od dwóch miesięcy pakuje swój dobytek, dorobek dwudziestu siedmiu lat. Zamyśliła się*

\*\*\*

Przyleciała tu z nadzieją. Praca za godziwe pieniądze, wielka przygoda i wreszcie się odkują. Pomoże wszystkim.

Najpierw pracowała jako opiekunka. Dziewczynka i chłopczyk. Ona z długimi płomiennymi warkoczami, on z pejsami. Lubiła te dzieciaczki. Dziewczynce plotła warkocz, odprowadzała do szkoły. Z chłopcem było łatwo. Malutki, drobny dreptał za nią, gdy sprzątała, gotowała, od czasu do czasu chciał na ręce. Brała go, przytulała. Przypominał jej synka, którego zostawiła w Polsce.

Mieszkała przy rodzinie. Dwa lata. Z Heńkiem spotykała się w weekendy. To były cudowne chwile. Obwoził ją po okolicy, pokazywał niezwykłe miejsca. Nocowali w motelach. Nie myślała o dzieciach, o mężu w Polsce. W marketach zachłannie kupowała, zafascynowana różnorodnością i obfitością.

\*\*\*

Usiadła. Kolano wyjątkowo dzisiaj jej dokuczalo i bolały ją stopy. Nogi jej spuchły.

\*\*\*

Potem była następna praca i następna. W międzyczasie zrobiła prawo jazdy i Heniek kupił jej samochód. Odszedł od żony, zostawiając jej dom. Wynajął małe mieszkanie i wtedy przeprowadziła się do niego. Założył też własną firmę i dobrze zaczął zarabiać. Pomagała mu, sprząając w wykończonych mieszkaniach. Wkrótce zmienili mieszkanie na większe. W górach kupili działkę i tam postawili letni domek. Heniek był „złotą rączką”, wszystko umiał zrobić i dachę też sam pobudował, wg własnego projektu. Sypialnia, living room z kominkiem w naturalnym kamieniu, kuchnia i łazienka. Spędzali tam wszystkie wolne dni, od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Ale i wyjeżdżali na wycieczki nad Niagarę nad Wielkie Jeziora, sami i z zaprzyjaźnionymi Polakami.

\*\*\*

Zapatrzyła się na zdjęcie, na którym stoi z Heńkiem przy wózku z kamieniami. Ona w bluzie i dresach z powypychanymi kolanami, on w kraciastej flanelowej koszuli. To były bardzo szczęśliwe dni. I jeszcze, gdy wyjeżdżali na wycieczki. A często jeździli. Ona i Heniek - kilka albumów. Nie powinna ich zabierać do Polski. Czuje, że to nie będzie w porządku.

\*\*\*

Heniek to była wielka miłość z czasów szkolnych. Po szkole średniej jakoś się pogubili. On wyjechał do USA. Ona została w Nowej Hucie. Najpierw czekała. Mijały lata. Wyszła za męża, za cichego, beznamietnego księgowego, urodziła dwoje dzieci. Żyła spokojnie. Pomimo kartek, kłopotów z zaopatrzeniem, radzili sobie, bo zawsze była zaradna. O nim, swojej dziecięcymłodości miłości praktycznie zapomniała.

Ale ona wróciła, oślepiła, pozbawiła rozsądku..., po dwudziestu latach.

\*\*\*

Usiadła na krześle. Podstawiła sobie stołeczek pod nogi. Drobnymi łyczkami piła wodę z butelki. Rozcierała kolistymi ruchami kolano. Wzrokiem omiatała opustoszałe ściany. Obrazy, bibeloty i fotografie już spakowała i wysłała. Jeszcze stoją meble,



stare graty, ledwo trzymające się kupy. Nędzne. Garbage.

\*\*\*

Heńka zobaczyła na przystanku, na ulicy. Wysoki, szczupły, zgrabny i uśmiech, taki jak kiedyś. Przypomniały jej się lata, gdy we wsi tańczyli na pograjkach, gdy rozmawiali o wszystkim i o niczym, gdy podnosił ją do góry, bo była mała ze swoimi 150-oma centymetrami, przy jego 190-ciu...

Odezwał się pierwszy: - Władzia? A potem była mała knajpka i długa opowieść o Ameryce. Ożenił się, ma prawo pobytu, prawo do pracy. Dobrze mu się układa. Nie ma dzieci.

- Co robi? - A wszystko, co trzeba - meble, domki letnie w górach...

Ona o sobie, dzieciach, kłopotach i brakach. O zmęczeniu ciągłym kombinowaniem. Ale pochwaliła się nowym mieszkaniem, którego się z mężem doczekali.

Przyjechał do kraju uporządkować sprawy po rodzicach. Trochę to zejdzie, nim sprzeda dom i ziemię. A potem wraca do Ameryki.

Zaprosiła go do siebie. Przedstawiła mężowi i dzieciom. Zaczął ich odwiedzać, pomagać w montowaniu mebli kuchennych. Widać, że znał się na rzeczy. W przeciwieństwie do męża.

I rozmawiali. Wypytywała go o ten kraj, o możliwości i coraz częściej śniła o wyrwaniu się z tego kraju ogólnej biedy i niemożności.

W tej atmosferze i miłość młodzieńcza powracała. Heniek był dowcipny, wesoły, skory do zabawy. Mąż nudny, poważny, zaaferowany cyferkami. Zaba- wa? Tylko sylwestrowa, organi- zowana przez zakład. Z Heńkiem nigdy się nie nudziła.

Kilka razy napomknął, że może jej pomóc, że ją zaprosi i pomoże znaleźć pracę, że zarobi i zapewni dzieciom lepsze warunki. Chciała tego. Widziała, że Heniek nie liczy się z forszą. Szasta na prawo i lewo. Obsy- pywał ich prezentami.

Zbliżał się termin jego powrotu do Ameryki, do żony, do pracy. Uczucie rosło i stopień perswazji też. Rozmawiała z mężem o możliwości wyjazdu na zarobek. Heniek odmalowywał wspaniałe perspektywy. Mąż poddawał się tej wizji płynących dolarów. Sam nie pojedzie. Jest księgowym, dobrze mu w Hucie. Nie nadaje się do pracy fizycznej i nie wyobraża sobie siebie w roli robota. Ona tak - opiekunka do dzieci, sprzątaczką, może i współwłaścicielką firmy. Nie boi się żadnej pracy.

Heniek polecił, ale dzwonił do niej kilka razy w tygodniu. Zdecydowali wreszcie z mężem, że polecą tam, zarobi i wróci. Mąż zajmie się dziećmi - dwunastoletnią córką i pięcioletnim synkiem. Jej siostra, Lodka, pomoże. To tylko na pół roku. Uzgodniła z siostrą, że wesprze szwagra, tym bardziej, że mieszka po sąsiedzku. Siostra sceptycznie do tego podcho- dziła, jak gdyby wiedziała, że nie o pieniądze tylko chodzi. Przyglądała się podejrzliwie przygotowaniom do tej podróży. Próbowiła jej wyperswadować ten pomysł. Do dziś pamięta tę kłótnię z siostrą w domku, na działce. Brat zaakceptował jej decyzję. Nie krytykował i tak jest do dziś.

\*\*\*

Wypisała kolejny blankiet. Liczyła: u brata osiem paczek, u córki cztery, u siostry sześć. Jeszcze kilka paczek wyśle, trochę porozdaje „konosom”, a reszta „garbycz”. Nawet angielskiego nie opanowała należycie. Nadal myśli po polsku. A jej angielski praktycznie jest dla rodowitych Amerykanów niezrozumiały.

\*\*\*

Przyleciała. Z lotniska Kennedy'ego odebrał ją Heniek, jej miłość, jej życie. Pamięta tę pierwszą podróż przez Nowy

Jork. Była taka szczęśliwa. A on pokazywał jej miasto, opo- wiadał... Zakwaterowali się w motelu. Dwa tygodnie.

Szybko minęło pół roku. Powiedziała dzieciom i mężo- wi, że zostanie trochę dłużej, bo ma dobrą pracę. Na otarcie łez wysłała im duże paczki i przekazała sporą sumę dolarów. Siostra już wtedy wiedziała, że nie wróci, że zostanie. Pró- bowiła jej opowiedzieć o tęsknocie dzieci, o płaczu Jacka, o kłopotach z Kasią. Nie słuchała jej. Słała paczki z markowymi ciuchami, wymyślnymi gadżetami.

Nie wróciła. Na rozpaczliwe prośby odpowiadała pacz- kami i dolarami. Heniek wystarał się o zieloną kartę dla niej. Pierwszy raz poleciała do kraju po dwunastu latach, na po- grzeb męża. Po nim otrzymała emeryturę, z której korzysta córka, do czasu jej powrotu. Dorosłe dzieci nie tęskniły już. Domagały się tylko pieniędzy. Pomagała im realizować ma- rzenia - córce postawić dom, synowi wysyłała elektroniczny sprzęt. Przez ten sprzęt właśnie zginął. Wszedł do mieszka- nia i napatoczył się na złodziei.

\*\*\*

Trzeba wracać do pracy. Minęła pora lunchu. Nastawiła wodę na kawę. Zaraz przyjdą konusy, Zawsze przychodzą do niej na kawę, a potem razem wracają na osiedle. Ona do klatek schodowych z odkurzaczem, oni sprzątają osiedle i wy- konują drobne remonty.

\*\*\*

Przypomina sobie drugi lot do Polski - na pogrzeb syna. Miał dziewiętnaście lat. Zamordowali go złodzieje, których skusił sprzęt elektroniczny, komputer, wieża, wideo, kamera. Wrócił niespodziewanie do mieszkania. Dostał tasakiem od mięsa. Porządnym. Amerykańskim. Złapali ich, osądziła. Do tej pory ma przed oczami plamę krwi na podłodze, na meblach. Wyrzuciła je po pogrzebie, ale obraz pozostał. Córka i siostra ją za to winiły. „Gdybyś tu była...” „Gdybyś nie przysyłała...” Miał pięć lat, gdy wyjeżdżała. Skończył dziewiętnaście, gdy poleciała go pochować.

\*\*\*

Ścisnęło się jej serce. Gula w gardle. - Jacuś... - Opano- wała się, z trudem powstrzymując łzy.

\*\*\*

Dolary, markowe ciuchy, sprzęt z najwyższej półki miały zastąpić... tylko co i komu? Spogląda na fotografie w specjal- nej ramie, którą zrobił Heniek: - Kasia kończy ósmą klasę - nie była. Jacek - pierwszy raz w szkole - nie było jej przy nim. Do pierwszej komunii - nie była, matura Kasi - nie była. Matura Jacka - nie była. Ślub córki - nie była. Wysyłała prezenty.

Córka prawie z nią nie rozmawia, wnuki też nie garną się za bardzo. Najmłodsza, pięcioletnia częściej przytula się do Lodki. A i siostra jakaś taka na dystans. Tylko brat jak dawniej.

Tyle razy zapraszała córkę. Nie skorzystała. Lodka i ow- szem, przyleciała raz. Obwieźli ją wtedy po Stanach, obdaro- wali. Ale nie zbliżyło to siostr. Lodka ma do niej żal o pozo- stawienie dzieci, o złamanie przysięgi. Nadal tak jest - niby dzwonią do siebie często, ale rozmowy...

No, Kryśka z Warszawy to co innego. Godzinami po- trafią ze sobą gadać - o mężach i o Heńku, i o dzieciach, zięciach i wnukach. Ale Kryśkę poznała tu, w Ameryce i tu się zaprzyjaźniły. Ona wróciła do kraju, do męża, do dzieci. Kryśka ją rozumie i nie ocenia.

Trzecia wizyta w Polsce była najtrudniejsza. Zawiozła prochy Heńka. Zmarł po ciężkiej chorobie. Dwa lata walczyli. Musieli sprzedać domek, działkę, narzędzia. Leczenie w Ame- ryce jest drogie a podstawowa opieka do niczego. Heniek się

dusił, woda w płucach. Siedział praktycznie w fotelu podłączony do tlenu. Nie mógł się położyć. Co dwa tygodnie do szpitala na odciąganie płynów. To były koszarne miesiące. Musiała pracować i opiekować się nim. Nie stać ich było na stałą pomoc fachową. Pieniądze topniały. Zmarł w sierpniu. Ciało poddała kremacji i zgodnie z jego ostatnią wolą wywiozła do Polski. Pochowała w jego rodzinnym grobie.

To było w marcu. Bała się tego wyjazdu. Nie tylko miała zawieźć prochy, ale przygotować rodzinę na swój powrót. Przed podróżą poszła do spowiedzi, po dwudziestu siedmiu latach. Poczła ulgę, gdy dostała rozgrzeszenie. W Polsce odnawiała znajomości. Upominkami schlebiała.

Wróciła, by uporządkować swoje sprawy i dopracować do emerytury. Niska to emerytura i na życie w Stanach nie wystarczy. W Polsce jakoś da radę, bo ma jeszcze rentę po mężu. No i mieszkanie w Nowej Hucie. Z córką się nie dogaduje. Kaśka nie słucha jej. Wnuki tolerują ją na tyle, ile liczą na prezenty. Córce i wnuczkom kupiła drogie kurtki i buty, to

znaczy zapłaciła za zakupy, które wcześniej sobie upatrzyły. Były miłe przez chwilę. Po kilku dniach zobaczyła kurtkę wnuczki wymiętaloną na podłodze. Podniosła, otrzepała starannie, powiesiła. Zwróciła uwagę, że to droga rzecz, że trzeba szanować... Lekceważące wzruszenie ramion, jakieś burknięcie, to była reakcja wnuczki. Kaśka też jej nie wsparła.

\* \* \*

To wspomnienie zirykowało ją. Ona szanuje swoje rzeczy, bo ciężko na nie pracowała. Teraz już część rzeczy wysłała do Polski. Jeszcze kilka paczek.

Zalała kawę, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyła. Wyjęła też odkurzacz ze schowka. Pożartowali, pojedli ciastek. Czas wracać do pracy. Wieczorem opisze paczkę i za kilka dni wyśle. Ma ich sześć, dużych kilkunastokilogramowych. Dorobek dwudziestu siedmiu lat.

*Teresa Nowak, Łupawa*

# w poezji ukryta jest kwintesencja człowieka



*Leszek Żuliński w najnowszej książce „Poezja mojego czasu” stara się krytycznie spojrzeć na poezję XX i XXI wieku. W sposób syntetyczny pragnie przedstawić zakres zachodzących zmian w zjawiskach literackich minionego i obecnego czasu*

Krytyk chce z dystansem spojrzeć na dokonujące się na jego oczach przemiany poezji. Nie jest jednak bezkrytyczny. W książce ustanawia swoje własne stanowisko. Właściwie cała ta książka jest jego stanowiskiem, obranym punktem widzenia, z którego obserwuje on świat liryki najnowszej.

Jego omówienie wpisuje się w ramy krytyki o krytyce. Na rynku pojawia się niewiele takich tekstów. Żuliński podejmuje próbę ich restytucji. Ma on również w sobie głęboko zakorzoną potrzebę opowiedzenia świata literatury, w którym żyje. To bowiem jedyna przestrzeń, w której krytyk widzi swoje miejsce, gdzie poczuwa się do odrysowania swojej współczesności i utożsamia się z odchodzącym pokoleniem literackim i tym, które obecnie nastąpiło. Autor tekstu znajduje się tak jakby na rozdrożu, na rozstaju dróg starego i nowego świata. Sam stoi gdzieś pomiędzy, dlatego decyduje się na podjęcie próby przedstawienia swojego miejsca w świecie.

Żuliński stara się w sposób syntetyczny przedstawić poezję i poetów, którzy z różnych powodów, głównie politycznych, zostali zepchnięci na margines ogromnego przecież obszaru współczesnej literatury. Mówi o tym bardzo otwarcie, w sposób bezpośredni, odważnie ukazując swój punkt widzenia. Píše o tym bez zawoalowania, śmiało i pewnie, twierdząc, w przeciwieństwie do tego, co inni boją się powiedzieć, że należy prosto i bez otoczki przedstawiać świat literatury. Dlatego język Żulińskiego zasługuje również na uwagę. Sposób jego pisania jest bezpardonowy a równocześnie barwny. Jego



bezpośredniość zadziwia. Można powiedzieć, że jego książka napisana jest w bardzo ciekawym, specyficznym dla tego krytyka stylu. Lekturę czyta się stosunkowo łatwo, bowiem kolejne problemy omawia Żuliński w przejrzysty sposób, kreśli przy tym bardzo wyraźnie swoje stanowisko.

Żuliński jest „buntownikiem”, który nie zgadza się na „bunt wyuczony”. Zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że tworzenie poezji

związane jest z opowiedzeniem się po „właściwej”, jedynie słusznej stronie. A wszyscy ci, którzy nie kroczą tą drogą i zbaczają wielokrotnie z „poprawnej ścieżki” skazani są na zatracenie, poetycki niebyt, całkowite wykluczenie z historii literatury. Krytyk, oprócz ustalania miejsca poezji najnowszej w historii literatury, ukazuje nie tylko stosunek młodych poetów do historii, powracanie do tego, co dla nich nieznanne, ale tak naprawdę postawę całego społeczeństwa wobec przeszłości. Stawia on bardzo ważne pytania o to, jak można przeżywać to, co dawno minęło, jeżeli się tego nie doświadczyło na własnej skórze? Żuliński pokazuje, jak historia znana z drugiej ręki bądź tylko zasłyszana miały wpływ na krystalizowanie się poezji najnowszej. Krytyk twierdzi, że naruszona została granica istniejąca między literaturą a ideologią. Jak można się przekonać, literatura nigdy bez niej nie istniała, bo zawsze

jakiś porządek tworzony był pod dyktando danej władzy. Taką rolę, niestety, w wielu przypadkach pełniła literatura, także poezja. Według niego, literatura jako dyscyplina pozbawiona granic, powinna takim miejscem pozostać. Niestety, z literaturą zaczęły korespondować inne dziedziny, również takie, które w sposób brutalny naruszały jej granice. Przez to moda na dany światopogląd bądź wyznawanie konkretnej ideologii nie tylko ją przenikała, ale zawłaszczała ją dla siebie. Stąd krytyka literacka, pozostająca pod wpływem danej ideologii, uznawała tylko niektórych twórców, innych bagatelizowała czy nawet zupełnie usuwała ze swoich omówień najnowsze zdarzenia literackie.

Twórca tekstu analizuje także bardzo szczegółowo problematykę wierszy. Dostrzega także ukryte w utworach paradoksy. Poezja dla Żulińskiego jego miejscem przyciągania i odpychania, naprzemiennych relacji ufania i wątpienia, uwielbienia i pogardy. Dla niego poezja jest prawdą wypowiedzianą przez ludzkie sumienie, momentem zwrotnym w rozwoju człowieka, najdokładniejszym miejscem określenia tożsamości istoty ludzkiej. Jest integracją relacji „dochodzenia” i „ucieczki”, o których pisze Żuliński w rozdziale „Poeta ucieka”. Liryka jest dla niego czymś więcej niż tylko miejscem, które można „używać”. Ona jest dla niego po prostu całym światem, w którym mieszka człowiek, zatem jest prawdziwa, bowiem istnieje tak jak i on.

Oprócz rozważań stricte metaliterackich krytyków podejmuje także inne kwestie. Żuliński zauważa, że historia literatury traktowała niektóre z utworów nieuczciwie. Wymienia on szereg tekstów, które są na to dowodem. Na przykład „Luiza” Bursy to poemat mało znany. Ten utwór w całkiem innym świetle stawia samego Bursę i jego tworzywo literackie. Zgodzę się w tym wypadku z Żulińskim, że ta „perła literatury współczesnej” również została pominięta. Bo kto zna „Luizę”

i obecne w niej stanowisko barokowe Bursy? Wydaje mi się, że tylko obeznani z tematem literaturoznawcy dostrzegają ten problem. W przestrzeni przeciętnej interpretacji poezji, a więc dla obecnego, zwyczajnego „szkolnego” czytelnika, który nie pragnie poszerzać w tym kierunku swojej wiedzy, „Luiza” pozostaje tekstem nieznanym. Wynika z tego, że to opinia publiczna, działania marketingowe, ideologia i systemowa władza narzucają, które teksty funkcjonują jako kanoniczne, zatem wartościowe, a które nie będą nimi nigdy. Nic bardziej mylnego, jak wynika z przemyśleń krytyka. Zatem, Żuliński bada stan nie tylko samej poezji, ale również krytyki literackiej, która jego zdaniem, w obecnych czasach została zepchnięta na margines. Dobra krytyka nie zawsze jest po czytna. To popyt na rynku reguluje zasady współczesnej krytyki literackiej. Zatem to pieniądź decyduje o tym, jak ma być napisany tekst i co ma w sobie zawierać, jaki ma być długi i czego ma dotyczyć.

Lektura najnowszej książki Żulińskiego nie napawa nas optymizmem, bowiem krytyk pokazuje nam bardzo wyraźnie, co stało się przez ostatnie lata ze statusem poezji, jak bardzo podatna stała się ona na oddziaływanie czynników zewnętrznych, do jakiego stopnia została zdegradowana i jak często ją wykorzystywano do innych celów. To jeden ze smutnych wniosków, jakie krytyk wyciąga w trakcie swojego omówienia. Równocześnie pojawia się także próba restytucji wartości poezji, na co wskazują podjęte przez niego analizy wybranych liryków. Żuliński pragnie ujrzeć w nich głębie, której nie dostrzeżono, chce uświadomić wszystkim czytelnikom, że w poezji ukryta jest najwyższa z wartości, kwintesencja człowieka.

**Anna Łozowska-Patynowska, Słupsk**

Leszek Żuliński: „Poezja mojego czasu”, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2014.



## robert paweł kamin - dąbki

Urodziłem się w Sławnie, a mieszkam w małej, nadmorskiej miejscowości Dąbki. Debiutowałem w almanachu poetyckim „Arka”, który został uznany przez chińską organizację literacką z Hong Kongu za najlepszy zbiór wierszy w 2005 roku. W 2008 wydałem pierwszy tom poezji „Natchniony Wiatr” (Polimer, Koszalin), a w 2011 w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej - drugi tomik: „Wiatr znad Bałtyku”. Piszę także krytyki literackie i aforyzmy. W ub. roku ukazał się w Wydawnictwie Petrus w Krakowie zbiór moich maksym pt. „Perelki życia”. (x)

### HOŁD DLA CHOPINA

Biegną po mej duszy jako rączę konie.  
Mazurki Chopina w Niebie osadzone.  
Biegną z ręki mistrza, tęczą dziś jaśnieją.  
Nadają rys wzniosły naszym, polskim dziejom.

Twoje polonezy - czasem balsam wonny,  
Czasem zaprzęg Raju - ogniasty, stukonny.  
Jak mgła się unoszą umajone dźwiękiem.  
Którym miłej Polsce, składałeś podziękę.

Z istic aksamitną szlachetnością króla.  
Rym składałeś nutą w salonowych murach.

Rozkoszną finezją akordy splatałeś.  
Muzyką harmonię ludzkich dusz spisałeś.

Twoje walce nicią jedwabną utkane.  
Brzmią perłą i złotem w Ojczyźnie kochanej.  
Boś był zanurzony w Bogu i polskości.  
Za to ja dziś składam - hołd Twojej wielkości.

### ODLECIAŁAŚ Z MYCH SNÓW

Odleciałaś z mych snów skrzydlata  
Już Cię nie ma wśród zdrojów marzeń  
I zapomnienia motyl lata  
Nie wiem czy Bóg znów Cię ukaże.

Odleciałaś z mych snów niebiańskich  
Już nie muska mnie szczęście Nieba  
I nie pachnie kwiat polan rajskich.  
Już nie schowam się w cieniu drzewa.

Odleciałaś z mych snów proroczych  
Już nie dźwięczy mi głos słowika  
I nie zrywa mnie duch ochoczy.  
Już nie rzeźwi mnie zdroj strumyka.